

Wies

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok III

Łódź, 7 kwietnia 1946 r.

Nr 13 (41)

JAN ALEKSANDER KRÓL

Co się dzieje na Uniwersytetach Ludowych

WSTĘP

Zorganizowanych i działających mamy już w nowej Polsce 32 Uniwersytety Ludowe. Powstało Towarzystwo U. L., którego zarząd składa się z działaczy współpracujących w ruchu tym jeszcze przed wojną. Państwo stworzyło warunki materialne (ziemia, obiekty budowlane) dla zorganizowania U. Ludowego w każdym prawie powiecie i gotowe iść z dalszą pomocą finansową i gospodarczą — jest tedy już czas i powód, aby zastanowić się nad rolą Uniwersytetu Ludowego w nowej wsi, a w szczególności — nim nam przyjdzie zająć się programami i zasadami opracowywanymi w łonie Towarzystwa, można już powiedzieć o obiegu i treści życia samych, działających od kilku miesięcy U. Ludowych.

Tak się składa, że posiadamy materiały obrazujące powszedni, typowy dzień U. Ludowych w rozmaitych regionach kraju. Informacji dostarczyły naszej redakcji Uniwersytety. Mówić więc będziemy o tym jak same siebie widzą Uniw. Ludowe. Przy tych założeniach krytyce naszej nie można będzie zarzucić niezrozumienia pracy U. L., ponieważ właśnie ich objaśnienia przyjmujemy za punkt wyjścia do dyskusji.

UNIWERSYTETY LUDOWE

CZY TOWARZYSTWA ARTYSTYCZNE?

Cechą uderzającą na wstępie każdego, kto by zajrzał w te materiały albo odwiedził osobiście którykolwiek Uniwersytet — to — literackość życia tych instytucji.

Rzeczą najważniejszą dla wychowanków i wychowawców jest — atmosfera Uniwersytetu.

Program wykładów, idee naczelne, zadania praktyczne dopiero w tej atmosferze uzyskują swoją funkcję społeczną i miejsce.

Systemem jest tu bowiem atmosfera. Ona dokonuje selekcji, rozkłada akcenty i nadaje nowe znaczenie materiałowi programowemu, a nawet go przetwarza i dobudowuje, zgodnie ze swymi prawami.

Otóż atmosferę tę organizują osobiście, czy to w łódzkim, kieleckim czy cieszyńskim, czynnikami literacko-artystycznymi.

Wymienimy je:

1) **Śpiew i śpiewność.** Od rana (na czczo jeszcze) po przez cały dzień (każdy wykład wywodzi się z fragmentu pieśni i kończy pieśnią) aż do wieczoru rozśpiewanego i nocy śpiewem witanym.

2) **Notoryczna wszędzie wierszomania powszechna**, (do gazetki czytanych i bez gazetki, do tekstów pod muzykę).

3) **Widowiskowość.** Od inscenizacji pieśni i wierszy do sztuk wieloaktowych.

4) **Prymat literatury i literackości.** Literatura, bo „ona najbardziej oddziaływała i urabia duszę”. Wejrzenie w historię i przyrodę po przez gawędę, mitologię, fantazjowanie i sugestie literacką fantastyki np. wszechświata.

5) **Urok społecznego zżywania** się uczestników osiągany przede wszystkim w imprezach literacko-artystycznych i takich samych wianach poszczególnych godzin dnia i poszczególnych punktów programu.

Najwyższą jedność osiąga tu młodzież przy imitowanych w izbie ogniskach, kiedy „w czerwono-papierowym półmroku snują się wizje obrazów”; albo w „nastrojowych godzinach”, kiedy wrazenie „kominka” podkreśla przedzenie na kołowrotkach, wtedy najlepiej „snują się opowiadania”.

Uniw. Ludowe rozwinęły zatem w swojej praktyce paromiesięcznej przede wszystkim życie literacko-artystyczne. Ale życie to jest całkowicie odcięte od ogólnonarodowego życia sztuki. Uniw. Ludowe nie szukają kontaktu w tym zakresie z szerszym społecznym rynkiem literackim.

Wiersze powstają bez kontroli czynników autorytatywnych i fachowo-doradczych, powstają bez kształcenia się na wzorach współczesnych, gdzie formy i problematyka należą do obecnego etapu historii Polski. Obojętni są dla tej młodzieży nawet pisarze chłopscy, których po raz pierwszy w dziejach wsi mogą z tygodnia na tydzień czytać zgromadzeni w jednym wspólnym piśmie. Pisarzy, którzy przestali być dziś prowincjonalnymi i powiatowymi a mają już cenę narodowych, pisarzy — po prostu — polskich. Ten awans, to osiągnięcie chłopskiej elity

literackiej jest drogowskazem omijanym przez młodzież w Uniw. Ludowych — nieśwety tylko bawiąca się literatura.

To odciecie odczuwane jest z satysfakcją, wzmacnia niezdrową megalomanię, a w skutkach zamiast postępu i osiągnięć artystycznych o obiektywnej wartości daje grafomanię tragicznie pustą pod każdym względem; jak niżej cytowana próbka:

„Jeśli wysoko wzbijesz łon
Czy ziemię widać zdala?
Czy tam wysoko słońca żar
Skrzydeł ci nie opala?”

Zagubiony tu został czas. Czas historii — Europy, Polski, warstwy chłopskiej i jej przodowniczej grupy działaczy.

W najambitniejszych próbach widowiskowych sięga młodzież po „Wesele” Wyspiańskiego, po „Przeziębłą” Zeromskiego z naiwnym, pełnym oddaniem się treściom tych sztuk, które wyrosły w epoce dalej niż wczorajszej, w epoce inteligenckiej „ludomani”, kiedy to inteligencja — jak pisze prof. Chałasiński — nie potrafiła wydobyć się z „węgetowania na marginesie wielkich cywilizacyjnych dokonania Europy” i w estetycznej postawie przeżywała nie realnie „sny o potęgę”, krzepiąc się chłopem w „pawich piórach” i wiara w moc duchowa, która wytworzyła masową filantropię i gestem miłości bliźniego nasyci biednego, wymijając realne sposoby i drogi, jakie na Zachodzie i w Ameryce wówczas szły przez rozwój techniki, industrializacji i dorastanie do uczestnictwa w nich najszerszych mas ludowych.

Kominki ze sztucznymi ognikami i prądkami przy kołowrotkach wskazują na ten rodzaj teatralizowania życia, który wyraża ucieczkę od życia. Ta literacka koncepcja wytrąca młodzież z prawdziwych, obowiązujących ją dziejów. Cofa ją z dojrzałości bio-psychicznej do lat i potrzeb chłopsko-marzycielskich. Cofa historycznie do epoki „Młodej Polski”, kiedy po salonach śpiewano komponowane pod ludową nutę pieśni. Kiedy królowała sławna „Prześniaczka”. I sztucznymi unaiwniającymi nastrojami inteligencja wytwarzała w sobie poczucie pełnej wielkości narodu, za tanią cenę przeżywania tego, co było kiedyś w narodzie usypiające — wiejskie i było raczej szlachetkie, niż chłopskie. To wsłuchiwanie się w świat przy kołowrotku, w „nastrojową godzinę wieczora” akurat stwarza takie warunki, do zrozumienia współczesnego świata, jak niegdyś przebieganie się pięknych markiz za pasterki stwarzało warunki do zrozumienia rzeczywistego życia pańszczyźnianych chłopów.

CZEGO TU NIE MA?

Stwierdziliśmy, że panującym na Uniw. Ludowych jest estetyzm, stwierdziliśmy, że ten estetyzm izoluje młodzież od współczesnej rzeczywistości. Z kolei należałoby wskazać na źródła i przyczyny tego estetyzmu.

Powołując się na tradycje grundtvigowskie wychowankowie Uniw. Ludowych odma-

wiają im funkcji „rozszerzania i popularyzowania wiedzy”.

„Niechaj nikt nie myśli, że uniwersytet nasz to jakiś ośrodek rozszerzania czy popularyzowania wiedzy albo, że to naśladownictwo szkoły średniej czy kurs oświatowy o jakimś wyznaczonym z góry programie”.

Krótko mówiąc, Uniwersytet ma wychowywać, nie kształcić.

„Ale wychowanie to nie prosta sprawa. Najlepiej udaje się w warunkach, w których wychowanek pozostaje jako w trwałej dla niego sytuacji. Tak np. żołnierz najlepiej wychowuje się w wojsku, spółdzielca w praktycznym życiu spółdzielni. Uniw. Lud. wychowuje młodzież do życia w Uniwersytecie, ale ten porządek nie ma naturalnego odpowiednika w życiu wsi.

I dlatego nie wprowadzanie na wieś trybu życia, jaki panował na Uniwersytecie jest celem Uniw. Uniwersytet Lud. stanowi, podobnie jak Spółdzielnia, nową instytucję chłopską, ale kiedy spółdzielnia przygotowuje swojego pracownika czy członka do życia spółdzielczego, UL przygotowuje do życia poza uniwersyteciem, do ról innych, niż te w jakich występował wychowanek na Uniwersytecie. Dlatego podstawowym błędem jest lekceważenie na Uniwersytetach rzetelnego wykształcenia a w szczególności — praktyczno-utilitytarnego. Nie wychowuje tylko przeba stad przenosić na wieś, ale wiedzę. Wychowanie ma wartość wyższą, o ile ułatwia zdobyć wiedzę, przemóc się do niej, rozentuzjasmować, wzwyżać. Ale też dlatego formy i treść tego wychowania zależne są od rodzaju i treści wiedzy, od jej historycznej doniosłości dla rozwoju wsi.

Tymczasem na Uniw. Ludowych, po założeniu, że nie są one od „rozszerzania wiedzy”, natrafiamy na drugie, również pogrundtvigowskie założenie: poruszać się w zakresie historii, literatury, przyrody, geografii. Poruszać się a nie poznawać, skoro chodzi tu np. w historii „o rolę dziejową Polski”, „Polska pogańska, Polska a krzyżacy w rozszerzeniu chrześcijaństwa, niewyzyskana potęga Jagiellonów, Polska przed murzem chrześcijaństwa, Polska Chrystusem narodów” itd.

„Przyroda zaś — jak czytamy — winna być prowadzona sposobem rozwojowym od istot jedno — komórkowych do makrokosmicznych wielkości w przestrzeniach międzyplanetarnych, gdzie do głosu dochodzą pytania tajemnicy bytu: czym jesteś, gdzie jesteś, dokąd dążysz? — co pozwala młodzieży głębiej skupić się i ocenić spokojnie swój stosunek do życia i otoczenia”; między innymi wyrazić się on powinien „w pokornej czci przed Istotą Najwyższą”.

W tej przyrodniczej wyprawie po „cudach natury, których łaknie młoda dusza” zapomniano oczywiście dowiedzieć się po drodze, dokąd może dążyć rolnictwo, czym ono jest w Polsce w porównaniu z Danią, Niemcami, Ameryką? Przeczono obserwację, że

narody, które kochały rolę i rolnictwo doszły do wielkich udoskonaleń i wynalazków w sposobach uprawy, nawożeniu, doboru nasion, hodowli, narzędzi, metod pracy itd. I że w całej nauce agronomii nie ma polskich odkryć i dorobku — coby mówiło, że Polacy ziemi naprawdę jak należy nie kochali.

Przestańmy żartować. Uniw. Ludowe cierpią na nieokreśloność zainteresowań i na zbyt szerokie zakresy zainteresowań. Cała przyroda w rozwoju! Cała historia! Jaka przyroda? a czego historia? To zła metoda wchodzenia w kulturę. Ani nie wyrobi metody poznawania ani nie da żadnej użytecznej wiedzy. To też obserwujemy, że metody zastępuje tu nastroj i atmosfera, a wiedzę metafora, tzn. literacki chwyt, który się nazywa: przenośnią. Urok przenośni (metafory) w poezji polega na powiązaniu dwóch bardzo odległych od siebie rzeczy, prawie nieprawdopodobnych w zestawieniu, jak kiedyś Szekspirowskie powiedzenie: „ujrzał oczami duszy”.

Odcodzenie od wiedzy cofa nas do przenośni, do legendy, mitologizowania, powrotu do stwarzania niejasności i tajemnic.

Tak to młodzież Uniw. Lud. nie chce dobrze wiedzieć w wąskim zakresie, dowiaduje się fałszywie w bardzo szerokim o Polsce, przedmurzu chrześcijaństwa, o Polsce, Chrystusie narodów, dowiaduje się o tajemnicy bytu, co — żał się Boże — ułatwić ma w jej zaniżaniu — określenie przez nią stosunku do życia.

Kiedy się wyklucza konkretną wiedzę praktyczną, kiedy się wyklucza wiedzę teoretyczną, poetyckość jako forma obcowania z otoczeniem i jako forma poznawania zajmuje główne miejsce, staje się panująca, jak to było w społeczeństwach pierwotnych, gdzie religia i magia posługiwały się pojęciami i obrzędami w gruncie rzeczy — estetycznymi.

FALSZYWY CIEN GRUNDTVIGA

Wszystko co się dzieje na Uniw. Ludowych idzie na rachunek tradycji Grundtvigowskiej. Na nią też w dalszym ciągu powołuje się Towarzystwo U. L. „racją bytu i roli społecznej naszych uniwersytetów ludowych, opartych o tradycje Grundtviga jest „potegowanie życia duchowego i rozwój osobowości wychowanków”.

Trzeba i nam z kolei sięgnąć do tego Patrona, bo nawet nie założyciela U. L. Grundtvig wyrósł w epoce tzw. romantyzmu (1820—1850). Ścisłej mówiąc należy do „romantyzmu literackiego”. Był poetą, wieszczem i działaczem, inspirowanym pomysłami romantycznego literata.

Ojczyzna jego, Dania, przeszła już uwłaszczenie chłopów w roku 1788, a więc 75 lat wcześniej niż dokonało się ono w Polsce. W roku 1807 przeżywa Dania najazd angielski, zniszczenia i okrojenie kraju. W perspektywie zarysowuje się podobna inwazja ze strony Niemiec.

Idzie o zachowanie wolności, o mobilizację sił obronnych, o gotowość narodu. Dania przechodzi wówczas okres podobny do tego, jaki myśmy przeżywali na przestrzeni całego wieku 19-tego. Przyczem różnice są na naszą niekorzyść. Myśmy już tkwili w niewoli, a chłop w dalszym ciągu w pańszczyźnie. Jak od Kościuszki najbardziej postępowe umysły starały się zaszczepić wyobrażenie narodu najszerszym masom, tak czynią to w pierwszych dziesiętkach 19 wieku postępowcy w Danii. Ale łatwiej tu było wzbudzić patriotyzm w chłopach, którzy prawie od 50 lat cieszyli się już wolnością społeczną. Łatwiej było uświadamiać w wolnym narodzie.

Grundtvig, poeta romantyczny, podobnie jak nasz Mickiewicz, sięga do motywów ludowych, stwarza charakterystyczny dla literackiego romantyzmu kult ludowości — „Folkeligheid”, który jednak w warunkach duńskich nabiera silniejszych akcentów społecznych i większej konsekwencji praktycznej, niż podobny zwrot u Mickiewicza w szlacheckiej Polsce pod zaborami.

Grundtvig pisze „Mitologię Skandynawii” i wiele wzniosłych pieśni, które w 3-ich dziesiątkach lat spełniają taką rolę budzenia ducha narodowego w ludzie, jaką u nas przez cały wiek XIX spełniły podobne czyniki, poczynając od pieśni historycznych (Dalszy ciąg na str. 3-ciej)

WŁADYSŁAW MILCZAREK

Źródło

Spod zielonego mchu, spod dębowego korzenia
Wytryskasz garstko wody źródłaną strugą natchnienia.

Ciurkoczesz na srebrnym flecte i grzmisz na szklanym bębnie,
Skrzykując codziennie rano spragnione dzikie gołębie.

Spijam cię słomką żytnią w upalne letnie południe,
Spieczone usta mi chłodziś, jak woda z najgłębszej studni.

Masz zapach wilgotnej ziemi i wszystkich kwiatów w dąbrowie,
Strugo najczystszej wody w cieniśmym leśnym parowie.

Brzegi zarosły mchem i ciszą nasiakły leśną,
W kwiatkach się miód przetapia i dojrzewają czereśnie,

A srebrną strugą źródelka powoli na zachód ciecze
Czerwcowe słońce, złote, jak rozkwiecony słonecznik...

Z tomiku: „Woliński las” — 1939 r.

Otwieramy dyskusję na temat:

miasto — wieś — regionalizm

Wprowadzenie

Piotr Ziarnik pisząc o regionalizmie w Nr 10 (38) „Wsi” wysunął pewne projekty i postulaty, które nie mogą chyba wzbudzić poważniejszych sprzeciwów. Dla Ziarnika regionalizm ma wartość jako środek a nie cel sam sobie. Wyjaśnienie roli regionu w popularyzacji kultury ogólnonarodowej i w organizowaniu oraz potęgowaniu pracy kulturotwórczej wsi, aby pracę tę uczynić ważną z ogólnonarodowego punktu widzenia, — oto ku czemu zmierza Ziarnik w swoim artykule. Regionalizm spełniałby w myśl tego programu rolę czynnika regulującego wzajemne wpływanie na siebie wrośniętej w tradycję lokalne samorodnej kultury ludowej i kultury narodowej, mając na oku jako cel ostateczny naturalną, bez okaleczeń i skreśleń asymilację tych obu kultur.

Ziarnik ma na myśli przede wszystkim regiony wiejskie, ale nie ma u niego jakiejś kolwiek tendencji do wyodrębnienia zagadnień kultury ludowej, wiejskiej i przeciwstawianie jej kulturze miast. Kulturę regionu traktuje Ziarnik po prostu jako tę rzeczywistość kulturalną, z którą stykamy się bezpośrednio, podczas gdy kontakty z szerszym, ogólnonarodowym jej kręgiem są już bardziej okólne i pośrednie. Kultura regionalna jest tu hierarchicznie podporządkowana kulturze narodowej jako jej lokalny fragment. Dla Ziarnika problem regionalizmu — to po prostu problem organizacyjny, kwestia normalnego funkcjonowania i całości i podporządkowanych jej hierarchicznie regionalnych komórek działalności kulturowej.

MIECZYSLAW JÓZWIĄK

1. URBANIZM

W miastach żyją i działają twórcy z dziedziny nauki, sztuki i techniki. Tu istnieją biblioteki, muzea, teatry, średnie i wyższe szkoły, instytuty badawcze itp. Tu mieszka większość inteligencji i wszelkiego rodzaju fachowców. Jeżeli chłop chce być mądrym i poznać smak sztuki rozwiniętej musi udać się do miasta i bezwzględnie słuchać miejskich mistrzów.

Mało tego, jeśli chłop chce powiększyć wydajność swej ziemi, musi wprawdzie starać się o to, aby w mieście działał żywy przemysł i handel, gdyż tylko wtedy znajdzie nabywców na swe produkty żywnościowe i wolne ręce. Wtedy tylko opłaca mu się nakłady kapitałowe i oświata fachowa. Kto temu nie wierzy, niech przejrzy tablice statystyczne, które uczą, że kraje o największym odsetku ludności miejskiej np. Belgia odznaczają się największą wydajnością produkcji rolnej. Powie ktoś, a Dania? Dania rozwój swego rolnictwa zawdzięcza jego odbiorcom, miastom angielskim.

Słowem miasto ma klucz rozwoju kulturalnego, przy czym kulturę tu rozumie się w szerokim znaczeniu, a więc oprócz nauki i sztuki jeszcze gospodarstwo, życie społeczne itd. Chcąc podnieść kulturę kraju należy rozbudowywać miasta i poddawać im pod dyktando kulturalny resztek, dość „skromną” jak u nas, bo wynoszącą 70% ludności. Komu by to przyszło do głowy, że jest to właściwie dyktatura części wobec całości. Utożsamienie kultury miejskiej z kulturą narodową w mentalności naszych poczciwców z miasta (starszych braci!) jest tak gruntowne, że wszelki odruch wiejski ku samodzielności osądza za szkodliwy separatyzm i parcelację zagadnienia kultury narodowej, wprost za zdradę tej kultury. Było tak wczoraj, które, gdy idzie o przekonania, nie różni się od dzisiaj. Dufając swemu rozumkowi, jakże często niesamodzielnemu, nie przeczuwało się wczoraj i nie przeczuwa się dziś, jakiej ogromnej wagi kryje się tu problem.

2. CMENTARZ NARODU.

Dla tych wszystkich, którzy widzą w mieście klucz rozwoju, ideałem jest miasto — kraj. A jeśli wszyscy jesteśmy kandydatami na mieszczan, nie od rzeczy będzie zastanowić się jakże tam przyjdzie żyć, bo z potocznej obserwacji widać, że tryb życia miejskiego nie wpływa dodatnio na zdrowie.

Zajrzyjmy więc do statystyki, jak ta sprawa wygląda.

Oto cyfry oparte o dane małego rocznika statystycznego z 1935 r. W czasie od 1921—31 nasz przyrost naturalny tj. nad-

Artykuł Mieczysława Józwiaka „Miasto” wychodzi z założenia, że istnieje naturalny antagonizm wsi i miasta, i usiłuje przeformować ideologię decentralizacji życia nie tylko kulturalnego, ale i gospodarczego. Józwiak jest antyurbanista, chociaż nie chce rezygnować z postępu technicznego, przeciwnie: jego projekt unowocześnienia i wyposażenia we wszystkie zdobycze nowoczesnej cywilizacji przemysłowej „kraju — wsi” postuluje wzmocnienie tempa technizacji.

Józwiak nie należy bynajmniej do bezkrytycznych wielbicieli sielskiej „rodzimości”, ale jest raczej apostołem i propagandystą niż badaczem, to też posługuje się czasem argumentami wzbudzającymi poważne zastrzeżenia.

Uwaga Józwiaka, że życie miejskie jest zasadniczo niezdrowe fizjologicznie, nie wzbudza zastrzeżeń, ale mimo to środki zaradcze proponowane przez autora nie wydają się w zupełności właściwe. Przede wszystkim likwidacja zupełna miast jest pomysłem niemożliwym do zrealizowania. Ośrodki takie jak zagłębia przemysłowe formowały się w sposób naturalny. Żaden rozwój sieci komunikacyjnej ani żadna rozbudowa źródeł energii elektrycznej nie zdołają zapobiec tworzeniu się pewnych ośrodków przemysłowych. Kopalnie ropy, rud i węgla zawsze będą naturalnymi bazami takich skupisk. Również międzynarodowa wymiana handlowa, zwłaszcza zaś handel zamorski powoduje konieczność rozbudowy pewnych baz koniecznych dla swego normalnego funkcjonowania (porty!).

M I A S T O

(artykuł dyskusyjny)

wyżka urodzin nad zgonami na 1000 ludności dla całego kraju wynosił 158, a dla miast dwa razy mniej, 79.

W czasie od 1931—38 r. przyrost naturalny kraju wynosił 88, a dla dziesięciu największych miast (Warszawa, Łódź, Poznań, Kraków, Katowice, Sosnowiec, Częstochowa, Bydgoszcz, Lublin i Chorzów) tylko 23 czyli cztery razy mniej.

W latach 1921—31 do miast z zewnątrz przybyło na 1000 ludności 261, a w latach 1931—38 — 112.

Statystyka milczy co to za ludzie, którym miasta głównie zawdzięczają swój wzrost ludnościowy, lecz każdy z nas wie, że w lwiej części jest to młodzież wiejska, obojga płci, zdrowa, przedsiębiorcza i bardzo często przygotowana do życia gospodarczego. Jej też głównie miasto zawdzięcza i naturalny przyrost swej ludności. Gdy w latach kryzysu imigracja do miast tej młodzieży zmniejszyła się dwa razy, o tyleż więcej spadł miejski przyrost naturalny (2 normalny spadek $\times$ 2 wskutek zmniejszonej dwukrotnie imigracji — 4). Nie trzeba dowodzić, że ta młodzież na wsi dała by z siebie więcej dzieci, a mniej zgonów niż w mieście, jeśli jej bracia i siostry pozostali na wsi i dlatego często mniej wartościowi dali z siebie więcej pod tym względem.

Dane te (a nie jesteśmy pod tym względem wyjątkiem) krzyczą wprost, że miasto jest fabryką śmierci. Higiena, dobrobyt, nawet przekonania i obyczajność mieszczan mogą polepszyć biologiczną sytuację człowieka w mieście, lecz i wtedy nie osiąga się połowy tych rezultatów, co na najbardziej pod tymi względami zaniedbanej wsi. Bowiem tryb życia miejskiego: ciasna przestrzeń, mury, siedzenie, jednostajne ruchy, praca nocna i zimowa (latem odpoczynek!) to są czynniki, które śmiertelnie godzą w mieszcza-

Cóż więc zmusiło człowieka do stworzenia miasta, co go tam pcha?

3. OBRONA.

Czynnikiem, któremu miasta zawdzięczają swój byt, to potrzeba obrony przed wrogiem, który od czasu do czasu najeżdżał kraj, zabijał, rabował i niewolił. Na szlakach wojennych, które z natury rzeczy nadawały się najczęściej do zaludnienia i zagospodarowania, tworzone punkty obronne, gdzie na wypadek wojny za murami ludność ze swym dobytkiem znajdowała skuteczną ochronę.

Było tak dotąd, dopóki nie udoskonalono broni palnej tak, iż kruszyła grube miejskie mury. Lecz i wtedy miasto jako kompleks murowanych budynków nada-

Józwiak jest po trochu utopistą, ale jego pomysły odnośnie likwidacji miast jako ośrodków twórczości naukowej i artystycznej popadają w utopizm zalatujący cokolwiek barbarzyństwem. Pomysł popularyzacji sztuk teatralnych przy pomocy filmu jest jawnym nonsensem. Teatr i film są zupełnie odrębnymi rodzajami sztuki (słowo w teatrze stanowi integralną część przedstawienia, w filmie jest tylko komentarzem) i nie da się żadnego z nich zastąpić w zupełności drugim. Również pomysł prowadzenia dyskusji wyłącznie drogą korespondencyjną lub za pomocą czasopism jest bardzo nieszczyśliwy. Zarówno dla uczonego jak i dla artysty bezpośredni, osobisty kontakt z „kolegami po fachu” jest nieodzownie potrzebny i nic go nie zdoła zastąpić.

A teraz jeszcze jedna obiekcja, może nawet bardziej zasadnicza. Decentralizacja życia gospodarczego i kulturalnego możliwa jest dopiero po osiągnięciu pewnego stanu nasycenia kraju produktami cywilizacji przemysłowej. Faza decentralizacji pojmowanej tak skrajnie, jak to ma miejsce w artykule Józwiaka, może się rozpocząć dopiero po doprowadzeniu przemysłu krajowego do takiej sprawności produkcyjnej, by mógł on w pełni zaspokoić potrzeby rynku wewnętrznego. Zanim to nastąpi, nie można podejmować eksperymentów tak szeroko rozumianej przebudowy życia gospodarczego. Fazę równomiernego rozmieszczania przemysłu po kraju musi poprzedzić faza jego koncentracji i rozbudowy oraz upowszechnienia nie tylko wytworów cywilizacji technicznej, ale również i odpowiadającego jej cywilizacji typu myślenia i działania.

wało się na punkty obronne w całokształcie obrony kraju.

Jednak rozwój lotnictwa i to pozbawił wartości obronnej. Wynałazek bomby atomowej umożliwił w godzinę znieść z powierzchni ziemi wielkie miasto. Przed nią bronić się można tylko unikając skupień ludzkich i materiałowych. Obrona kiedyś pchała do tworzenia miast, dziś ta sama obrona nakazuje bezwzględny ich rozrzut.

4. GOSPODARSTWO.

Cóż więc trzyma jeszcze ludzi przy mieście? Względny gospodarczy? Tuż przy grodach obronnych osiadali rzemieślnicy i kupcy a to dlatego, że drogi wojenne były równocześnie drogami gospodarczymi. Jednak punktem zwrotnym odkąd powstały nowoczesne miasta — kolosy był rozwój techniki, który najpierw miał miejsce w Europie zachodniej.

Technika ta co do taniości i jakości produkcji, co do komunikacji, tak uprzywilejowała ośrodek, gdzie powstała, iż świat cały wszedł z nim w stosunki gospodarcze, ho po prostu wszystkim opłacało się jeszcze ponieść kosztą dalekiego transportu surowca i towaru, aniżeli wytwarzać na miejscu przestarzałym sposobem.

W oparciu o ruch surowców, przeróbkę ich na towar i ruch towarów rozwinęły się wielkie miasta ponad potrzebę swego kraju, bo pracowały głównie dla świata, a kraj miał tylko z tego zarobek.

Lecz u podstaw tych miast stał przywilej techniczny, który był czasowym tylko dodatkiem, dopóki świat nie przyswoił go sobie tak jak w ogóle każdej innej ważnej zdobyczy ludzkiej.

Tak się też stało. Najpierw technikę przejęła Ameryka, potem Azja, Afryka i Australia.

Dziś nie można mówić o przywileju technicznym którejś części świata. Raczej o przywilejach przyrodniczych, klimatycznych, surowcowych i glebowych, a te stają się nareszcie w pozycji gorszej.

Dziś odpadły na stałe warunki, dzięki którym jednym ciągiem do nas szły surowce, a w drugą stronę towary. To się nie opłaca już obcym i nam. Tak więc fabryki w wielkich miastach stanęły, a robotnicy poszli na bruk jako bezrobotni. Utrzymanie ich w tej czy innej postaci spadło na wieś, boć przecież żyć musza.

5. ENERGIA I KOMUNIKACJA.

Energia i komunikacja były czynnikami, które na mapie wyznaczyły miejsca na skupiska warsztatów i materiałów. Wielkie miasta wyrastały w bliskości kopalń węgla i na przecięciu ważnych linii kolejowych. Pierwsze żyły z przemysłu, drugie z handlu. Obecnie i te względy odpadają. Elek-

Józwiak straszy nas cprawda bombą atomową, ale ten argument przypomina trochę protesty niektórych naszych wojskowych dygnitarzy z czasów sanacji przeciw osuszaniu bagien poleskich, ponieważ spowodowałoby ono pogorszenie warunków obronności na naszej granicy wschodniej. Zresztą pewniejszym środkiem zabezpieczenia się przed bombą atomową byłoby przeniesienie się do jakichś bardzo głębokich podziemi.

Rozwinięty w artykule pomysł „kraju — wsi” jest utopią, utopią jednak, która zasługuje na to, by się nad nią poważnie zastanowić. O ile bowiem projekty Józwiaka nie zawsze są możliwe do przyjęcia bez zastrzeżeń, to jego krytyka urbanizmu i warunków życia miejskiego (zwłaszcza w dwu pierwszych i dwu ostatnich rozdziałach pracy) zasługuje na uwagę.

Sprawą dla nas najważniejszą jest w tym wypadku zakwestionowanie prymatu miasta w życiu narodowym, nawet jeżeli się przyjmuje w pełni ważność cywilizacji technicznej i cywilizację tę ocenia się zupełnie pozytywnie. Artykuł Józwiaka zwraca uwagę na konieczność syntezy, na konieczność poszukiwania takich rozwiązań, które pozwolą na zlikwidowanie zarówno nadmiernych skupisk miejskich, jak i „deskami zabitych” wiosek.

Z wypowiedzeniem własnego zdania w tej kwestii wolę się powstrzymać do następnego artykułu, jaki na ten temat zamierzam napisać. A sądzę, że okazją będzie, bo temat jest naprawdę interesujący i napewno wywoła żywą dyskusję. Podejmę też wtedy na nowo kłótnię z p. Józwiakiem, ale już w sposób bardziej zasadniczy.

Stefan Lichański

tryczność bowiem umożliwia przeniesienie energii w setki kilometrów od jej źródła. Wszędzie więc, gdzie wytwórczość oparta jest o energię mechaniczną, tam nie ma już konieczności skupisk warsztatów. Wręcz przeciwnie obrona i taniość nakazują najdalej posuniętą decentralizację wytwórczości.

Co do taniości to gra tu rolę bliskość surowca i rynków zbytu. Poza tym na wsi koszty utrzymania są niższe: żywność jest na miejscu, nie potrzeba zakładać kosztownych zieleńców, stadionów, nie trzeba nocą oświetlać, ani budować kosztujących krocie kanalizację i podziemnej komunikacji. Na wsi też nie są tak drogie parcele jak w mieście itd.

Gdy idzie o komunikację, to dziś nie ma ważnych i mało ważnych punktów. Samochody docierają wszędzie.

6. NAUKA I SZTUKA

Powstaje jeszcze jeden argument przemawiający za miastem — to względ na naukę i sztukę. Do twórczej pracy naukowej czy artystycznej trzeba wymiany dzieł, poglądów, dyskusji. To kiedyś można było uzyskać tylko w mieście, gdzie gromadzone największe zbiory książek, okazów muzealnych, tworzone wystawy obrazów i rzeźb, wystawiano w teatrach sztuki, odbywały się koncerty. Były to jedyne w owym czasie sposoby porozumienia się uczonych i artystów.

Dziś te względy odpadły. Szybka komunikacja umożliwia korzystanie z bibliotek nawet zagranicznych, podobnie i z innych pracowni naukowych. To, na co kiedyś trzeba było miesięcy czasu, dziś można osiągnąć w kilka godzin. Czasopisma naukowe umożliwiają dyskusje naukowe na poziomie wyższym niż dawne dysputy. Dziś sztuka teatralna nagrana przez najlepszych artystów na film dociera do wszystkich zakątków. Także dzieło muzyczne dzięki radiu. Obraz odbity mechanicznie może nabyć nawet najuboższy.

Dziś nie ma potrzeby aby naukowcy i artyści trzymali się tradycyjnych dróg porozumienia z sobą i odbiorcami. Jeśli w działalności swej uwzględnią możliwości, jakie im daje współczesna technika jako narzędzie oddziaływania na masę — wtedy dopiero powstaną warunki do rozwoju nauki i sztuki.

7. ŹRÓDŁO NIEPOKOJÓW

Miasto jest dziś nie tylko niepotrzebne lecz nawet szkodliwe. Wskutek rozruntu techniki po świecie wielkie miasta straciły swą podstawę gospodarczą: stanęły fabryki, zamarli handel, pojawili się bezrobotni. Otóż tym okolicznościom zawdzięczamy

Co się dzieje na Uniwersytetach Ludowych

(Dokończenie ze str. 1-ej)

Niemcewicz po przez popularyzowane legendy o Piaście i Wandzie, po przez Anę z ców obrazki z historii Polski, po przez rosnącą legendą Kościuszkę aż do politycznego ruchu ludowego, który tę świadomość, acz naiwną i prostą upowszechnił w masach chłopskich gruntownie.

Grundtvig nie widział innych narzędzi budzenia patriotyzmu poza literaturą i historią, w których sam tonął jako romantyczny literat.

Na szczęście szło wówczas o prostą rzecz. O wywołanie w ludzi uczucia, że należy do narodu duńskiego i gotów się bić za wolność Danii. Agitacja słowna, literacka, wzruszeniowa, operująca plastycznie obrazami z dziejów ojczyzny była wcale nie złym środkiem doraźnym. Naiwność koncepcji literackiej ratowała poziom kultury odbiorców. Chłopu duńskiemu, który w latach 1820—30 przypominał naszego z lat 1880-tych trzeba było kłaść w wyobraźnię rzeczy żenująco naiwne, prostaczki katechizm narodowy.

Skutek był, bo kiedy w roku 1864 Niemcy rozpoczynają z małą Danią wojnę, wynik jest taki, że choć Dania traci część kraju, ocala jednak wolność.

Ale to doświadczenie uczy Danię nowych rzeczy. Nie wystarczy patriotyzm polityczny. Ojczyznę nie wolno tylko skupiać w sercach obywateli, w słowie „ojczyzna” i ślepej gotowości na śmierć i życie za nią. Ojczyznę trzeba rozłożyć w głowach na wielką siatkę wielu zadań, a w pierwszym rzędzie gospodarczych, które decydują najlepiej o zdrowiu, bogactwie i faktycznej sile narodu.

MIASTO

(Dokończenie ze str. 2-giej)

zawsze wołw. Pod naciskiem fabryk, które musiały wytwarzać i bezrobotnych, którzy musieli pracować — państwa przeszły na gospodarkę wojenną. Ona doskonale rozwiązywała problem miast: uruchamiała fabryki i zatrudniała bezrobotnych, a finałem tego — wojna.

Ustrój psycho-fizyczny mieszczaństwa jest podatnym gruntem dla tego rodzaju niespodzianek. Nasza rasa ukształtowała się w klimacie, który podlega cyklicznym zmianom równoważącym się. Od prawników organizm białego człowieka przyzwyczajony jest do pracy latem (w rolnictwie), a zimą do odpoczynku. Latem człowiek je, aby miał siłę, zimą — aby miał ciepło. Je więc zawsze równo, nie wiele. To utrzymuje jego ustrój w równowadze, w spokoju. Odwrotnie czyni mieszczaństwo. Ten zimą pracuje najintensywniej i musi odżywiać się, aby mieć siłę i ciepło. Latem zaś odpoczywa. To ciągłe zmuszanie ustroju do intensywności i następnie do zupełnej ekstensywności jest źródłem hysterii, którą plewcy miasta nazywają ruchliwością i skłonnością. Trudno przewidzieć, jak się zachowa mieszkaniowiec miasta.

8. FABRYKA FAŁSZYWYCH ŚWIATOPOGLĄDÓW I DOKTRYN

Można jednak przewidzieć, co w mieście chwyci. Mieszkaniec miasta ma zawsze do czynienia z otoczeniem fizycznym, a zwłaszcza z mechaniką. Wszystko to zrobił sam, wydzwigał itp. Dlatego ma wysoko rozwinięte poczucie sprawstwa (pewność siebie) i związku przyczynowego.

Na wsi przeciwnie: chłop ma do czynienia przeważnie z rzeczywistością biologiczną, stąd mniejsza u niego pewność siebie i raczej poczucie zależności warunkowej. Uprawi ziemię, zasieje i czeka. — Nie wie, jakie będą żniwa, jaka będzie (tak ważna dla niego!) pogoda jutro. Stąd ostrożność w sądach, dopuszczalność światopoglądu, w którym nie wszystko rozumowo da się powiązać i tolerancyjność, siostra pokoju. Mieszczaństwo nie może wyznawać światopoglądu, w którym wszystko się z sobą nie wiąże i nie zalega.

A jeśli rzeczywistość nie chce się zmieścić w jego ramy, raczej siłą będzie się starał nagiąć ją do ram.

Dlatego też można zrozumieć upór, z jakim mieszczaństwo trzyma się tzw. doktryn społeczno-gospodarczych obojętnie jakiej maści.

Wszystkie one zajmują się sprawą podziału dóbr, gdyż powstały w czasie, gdy dobra mnożyły się same dzięki przywilejom technicznemu i rozwijającej się koło niego gospodarce. Były one wynikiem obskuryzacji życia społeczno-gospodarczego miast ówczesnych i zawierały ich życzenia: usprawienia rozdziału dóbr.

Dziś życzeniem najżywością jest nie rozdział a wytwórczość, lecz mieszczaństwo nadal świat chce wtłoczyć w stare ramy.

Mieczysław Józwiak

Kiedy w pierwszym okresie przed r. 1864 Kold, jeden ze zwolenników Grundtviga organizuje Uniwersytety Ludowe, wedle recepty mistrza i przedłuża ich charakter i w następnych latach, w drugim okresie dochodzą do głosu i dominują inne czynniki, które stają w jawnej sprzeczności z dawnymi naiwnymi i jednostronnymi. Dania buduje teraz wielką flotę handlową. Zagospodarowuje nieużytki jutrlandzkie, naukowcy duńscy robią wynalazki i ulepszenia w rolnictwie, naród przyswaja sobie angielskie teorie ekonomiczne i francuską kulturę.

Uniw. Ludowe stoją teraz pod wpływem fizyków (jak Le Cour'a), którzy torują tu drogę nie fantazjowaniu o „tajemnicach bytu”, ale konkretnemu zastosowaniu nauk przyrodniczych. Uniw. Lud. organizują się obok Szkół Rolniczych i Spółdzielni! Dania ma dziś tylko 28% rolników i dlatego jest narodem chłopskim, bo chłopci są na wszystkich zawodach i funkcjach jakich wymaga naród.

Jeżeli w uprzemysłowionej i spółdzielczej wsi duńskiej o wysokiej stopie życiowej Uniw. Lud. spełniają dziś rolę taką jak salony towarzyskie w mieście, lub kluby stowarzyszeń racząc odświeżającym przeżywaniem rzeczy oderwanych od praktycznych zajęć, bardziej wzniosłych i ogólnych, — trzeba nam zdać sobie sprawę, że to jest już trzeci okres: po przejściu wsi duńskiej na najbardziej opłacalne rodzaje rolnictwa, po wytworzeniu przemysłu przetwórczego, po technizacji na wsi, po powszechnej oświacie zawodowej, po niesłychanym odpływie 3/4 chłopów do miast.

Nie wzywajmy więc na ślepo imienia Grundtviga.

Była Polska szlachecka „pawiem i papugą” pańskich obyczajów innych narodów, nie bądzmy „pawiem i papugą” chłopskich narodów.

Naśladowanie Danii z pierwszego okresu byłoby dzisiaj u nas nonsensem, skoro tę epokę mamy już poza sobą, co gorsza, trzeba nam nawet dziś walczyć ze zbyt zakorzenioną w ludzi obrazkową i tandetną filozofią narodu. Trzeciego okresu też nie ma co naśladować, choć na to nasze Uniw. Ludowe dziś wyglądają, bo u nas byłoby to kwiatek do koczucha, podczas kiedy często nawet nie ma koczucha.

Pozostaje drugi okres. Ten kiedy Uniw. Ludowe zespółży się z ogólnymi przemianami w Danii, z jej światłym rozpędem gospodarczym. Kiedy Uniw. Ludowe wiedziały co to Szkoły Rolnicze, przemysł, spółdzielczość i nauka w wymiarach i specjalizacji o jakich nam jeszcze nawet się nie śni. Kiedy umiały patriotyzm chłopski i duński budzić i wyrażać w przysparzaniu kandydatów na te pozycje, wiodące do potęgi gospodarczej a przez nią do niezależności politycznej Danii.

SZKODLIWY SYMBOLIZM

I na Uniwersytetach i w deklaracji Towarzystwa U. L. powtarza się jako główne zadanie wychowawcze: „spotęgowanie życia duchowego i rozwój osobowości wychowanków”.

Ten fałszywy cień Grundtviga nie chce wciąż jeszcze ustąpić z naszego życia wiejskiego.

„Spotęgowanie życia duchowego” chłopów duńskich w latach 1820—50 metodami Grundtviga znacząco historycznie jedno — unarodowienie natychmiast chłopów w obliczu naporu kulturalnego i potencjalnie wojennego Niemiec.

Opisywaliśmy dwie fazy tego unarodowienia. Pierwsza uproszczona, doraźna, możliwa wśród ciemnego i biednego chłopstwa. Druga rozwinięta, nie tylko biorąca od chłopów (podatki i daninę krwi), ale i dająca mu dobrobyt i pewność bytu narodowego.

Podobne fazy przechodziliśmy u nas. I ciękawie, że w zaborze pruskim gdzie niszczenie polskości szło po drogach gospodarczych (wykup polskiej ziemi, pomoc niemieckim gospodarstwom) uświadomienie narodowe naszych chłopów skoncentrowało się w gospodarczych formach: Kółka Rolnicze, wyższa technika rolnicza, i w całym tego słowa znaczeniu: wyścisną na tym polu. Podobnie, chociaż później, było w Kongresówce, gdzie rząd carski po uwłaszczeniu hamował postęp rolniczy na wsi polskiej. Dlatego i odpór narodowy wyraził się w gospodarczej prężności.

Były to niewątpliwie bogatsze, wyższe i ważniejsze formy wyrażenia polskości niż w zaborze austriackim, gdzie stosunkowo największa swoboda narodowa spowodowała, że ruch ludowy wyżywał się w... tromtadracji patriotycznej niekończących się rocznic narodowych a rolnictwo, a życie gospodarcze wsi pozostało w zdumiewająco wielkim zaniedbaniu.

Jeśli jeszcze możemy zrozumieć ideę „spotęgowania życia duchowego” — jako zamaskowany apel do bojowego pogotowia świadomości klasowej w latach międzywojennych, kiedy Polska do 39 roku była niestety nadal folwarkiem ziemianiskim i szło wtedy przede wszystkim o społeczną walkę i zwycięstwo to dziś w zwrocie „potęgowanie życia duchowego” wilcze możemy tylko pustą lupinę, z której jądro idei wyskoczyło nowe warunki historyczne wolnej Polski.

W Polsce sanacyjnej więc przeżywała stan społecznej okupacji. Z latami rosło zdławienie polityczne, potęgowane ubezwładnieniem gospodarczym wsi tak z zewnątrz przez stagnację w przemyśle, jak wewnątrz przez odebranie wszelkich warunków na inwestycje gospodarcze i rozwój wyższych form produkcji rolniczej.

Mobilizacja wsi w tym stanie rzeczy poszła nie w kierunku charakterystycznym dla drugiego okresu rozwoju wsi duńskiej, tzn. nie na rozwinięcie wszechstronnej działalności, ale na celowe skurczenie, skoncentrowanie się na jednym: na **geście społecznego buntu**. „Potęgowanie życia duchowego” zostało tragicznie zredukowane do ubożego garnituru haseł wolnościowych, których wartość polegała przede wszystkim na dynamice uczuciowej, na jej upowszechnieniu, na pogotowiu bojowym.

Życie duchowe młodzieży zostało „spotęgowane” przez wypełnienie go szeregiem symboli (wizja idealnej demokracji, nienawiść do totalizmu, do szlacheckiego wladztwa, walka z własnym kompleksem niższości, wzmocnienie świadomości klasowej przez wypełnienie jej treściami dawnej kultury ludowej, jako wartościami również dziejowymi jak wartości kultury szlacheckiej itd.).

Ten proces upraszczania programu, acz historycznie wytłumaczony, był niewątpliwie zjawiskiem tragicznym. Treścią bowiem życia duchowego młodzieży stała się symbolika w tym znaczeniu, że symbole zastąpiły rzeczywiste procesy społeczne. Młodzież w ten sposób została skazana tylko na „potęgowanie życia duchowego”. Co jej zostało, to właśnie to „duchowe życie”. Stan był mniej więcej taki, jaki przeżywa wiezieni, który na wolności miałby wiele konkretnych rzeczy do zrobienia, ale za kratami może tylko myśleć i to nadmierne, niezdrowe podrażnianie się do nieustannego snucia marzeń, ożywiania zapiekłych uczuć nienawiści i zemsty trzyma go sztucznie w stanie napięcia, chroni przed depresją.

Trzeba zdać sobie sprawę, że w takich warunkach, z pozoru wyjątkowo hojnych dla wszelkich procesów myślowych: (np. projektowawczych) naprawdę — wprost przeciwnie — życie duchowe nie mogąc zaspokoić się o konkretne ujęcia realizacyjne płące się w petachce ogólników, drepce w kółku ubogich nie pogłębianych i nie sprawdzanych haseł. Mało tego, dokonywa się typowy proces degeneracji myślowej właściwy wszelkim emigrantom, tzn. wszelkiemu oderwaniu się od szans na działania praktyczne. W taką oazę emigracyjną wewnątrz Polski zamienił się młodo-wiejski ruch młodzieżowy i Uniwersytety Ludowe. Bo trzeba pamiętać, że kiedy u nas organizowały się Uniw. Lud. nie można było sobie powiedzieć, że wolni od praw historii powtarzamy tylko etap rozwoju wsi duńskiej z przed stu lat. W rachunek tego przesiewziewa historia nieubagane pchała nam pozycję całego nowego stulecia.

To emigracyjne życie duchowe wytworzyło w rezultacie symbolikę klasową, separatystyczną wobec państwa i narodu. I kiedy nowych sto lat krzyżało o wejście ludu w naród, o opanowanie przez lud wszystkich umiejętności technicznych i humanistycznych, jakie dla życia nowoczesnego narodu stanowią cenę jego egzystencji, symbolika życia duchowego młodzieży wiejskiej obracała się w kręgu mitologii kultury ludowej zwracając aż do prastawiańszczyzny.

Niewątpliwie czerpała w tych obrazach siłę do duchowego przeciwstawiania się wżgardzie szlacheckiej, ale doraźnemu wzmocnieniu zagrażała na dalszą przyszłość bezradność cywilizacyjną, bezradność gospodarza i kulturalna. I dziś oglądamy opłakane skutki tej samowystarczalnej gry duchowego spotęgowania. Upływa półtora roku i Zw. Młodzieży Wiejskiej nie uczestniczy in corpore w Związku Samop. Chłopskiej, woli w dalszym ciągu w próżni „potęgować życie duchowe”, jakby nie było rzeczy jasna, że nie od kursów higienistek, ochroniarek i kierowników świetlic należy zaczynać, ale od tych resztek, idących w miliardy złotych, od społecznego wiana gospodarczego wsi polskiej, od rozwinięcia na nich pierwszych masowych instytucji użyteczności publicznej — przede wszystkim gospodarczych a z nich jako stałej inwestycyjnej bazy wszelkich innych duchowych.

„ROZWÓJ OSOBOWOŚCI WYCHOWANKÓW”

Tradycja Grundtviga została u nas dopelniona i przystosowana do polskich tradycji wychowawczych. A te polskie są pochodzenia... inteligiencko-szlacheckiego.

Prof. Chałasiński w inauguracyjnym noworocznym odczytzie na Uniwersytecie Łódzkim zobrazował wyczerpująco rodowód społeczny inteligencji polskiej.

Ukształtowała się ona w ścisłej zależności kulturalnej od ziemiaństwa.

Wyłania się w XIX wieku, pochłaniając w swój skład „wysadzonych z siodła” szlachciców, emigrantów na bruku miejskim. Ten ex-ziemiański element wnosi psychologię rezydentów z epoki przed kapitalistycznej — dworskowo - agrarnej, pasywnych kulturalnych, obcych zrozumieniu dla wielkich procesów cywilizacyjno - technicznych, jakie przeżywa Europa, z urazem honoru szlacheckiego, żyje tradycjami towarzysko-wielkopańskimi, w których kult wychowania i manier wytwarza prezencję, wyróżniającą się sylwetką. Sylwetka ta szczegółowo wymuszowana i wymuskana nazywa się osobowością. Nie można wogóle jej sobie wyobrazić w oderwaniu od zamkniętego życia towarzyskiego. To jest ta „differentia specifica”, jaka na nowym gruncie mieszczańskim wyróżnia ziemianina, ciągnąc za nim urok wyższości społecznej i snobizm naśladowania. Inteligencja polska przystosowuje się do tego wzoru. Wysokie wartości intelektualne rozwija wyłącznie w zakresie nie utilitarnym, jak wskazywał wzór pańskich zainteresowań (arystokratyczno-dworskich). Jest czynna w produkcji i konsumpcji przede

wszystkim estetycznej i naukowo - filozoficznej w obrębie tzw. „bytu duchowego”.

„W okresie najintensywniejszego rozwoju kapitalizmu, kiedy w innych krajach wrzała praca przekształcająca cywilizacyjne oblicze świata — jak mówi prof. Chałasiński — Polska dla swoich kulturalnych rodaków była tylko „idealnym dobrem duchowym”. Ci — w rezultacie — „gapię życia polskiego” przedłużają tradycje wychowawcze „osobowości”. Osobowość to ostatni czynnik zaciśza w towarzyskim getcie, na jakie się sami skazują, w jakim więdną oderwani od niższych warstw społecznych, dalecy od roli wykładnika aspiracji i potrzeb tych warstw.

Idea „osobowości”, która odnajdujemy w programie wychowawczym Uniwersytetów Ludowych, wywodzi się z tego właśnie tragicznego uwikłania ruchu ludowego w chłopa-pomańskie sympatie inteligencji z końca XIX wieku, tej właśnie inteligencji, która swojego egzaminu wobec narodu w rezultacie nie zdała. I tym, co w niej samej podtrzymywało izolację społeczną, marginesowość w historii narodu polskiego ostatniego stulecia tym właśnie obdarzyła młodo-chłopski ruch.

Tak się tu spłoty dwa wątki: wczesno-grundtvigowski i inteligiencko - ziemiański. „Potęgować życie duchowe” i „rozwijać osobowość wychowanków”.

Izolacja społeczna jaką wytwarzał pierwszy postulat została wzmocniona i pozornie uzasadniona drugim.

„Osobowość” — szczerakowy produkt tradycji pańskiej, wyłączony z odpowiedzialności za budowanie materialnych fundamentów postępującej historii, ta „osobowość” w idealistycznym hasle: „najpierw tworząc człowieka tworzymy potem sprawiedliwe dzieje” stała się naczelnym wzorem wychowawczym Uniw. Ludowych.

O „osobowości” da się powtórzyć to wszystko, co mówiliśmy o potęgowaniu życia duchowego. W oderwaniu od procesów gospodarczych, od udziału w realnym przekształcaniu cywilizacyjnych warunków życia wsi „osobowość” staje się w Uniwersytetach jeszcze jednym ze złudzeń symbolizmu.

Nie dźwignię przemian, ale ostatnim zakątkiem przed naporem rzeczywistości, wobec której jest się bezradnym i rzeczowo nie przygotowanym.

Z faktu staje się ona koncepcją, marzeniem. Osobowością przeogadana, ale nie zrealizowana. Bo prawdziwa osobowość — osobowość społeczna powstaje z udziału w realnych procesach społecznych; można mówić pozytywnie o osobowości Behowca, bo jest on historycznym produktem wojny, udział w walce z okupantem wprowadził młodego chłopca w nową rolę społeczną; można będzie mówić pozytywnie o osobowości samopomocowa, bo się wyłonił ona nie z lusterkowego uświadomienia sobie kim ma być, ale z rozwoju gospodarczych przedsięwzięć, w których spółdzielca odegra rolę podmiotu czynnego i realnego a nie wyimaginowanego duchowego.

Jak bardzo „osobowość” stanowiła wzór szczerakowy, schodzącej na margines historii szlachty i inteligencji, którą za tę dobrowolną degradację postawił w stan oskarżenia przed 50 laty Brzozowski — potwierdza nam dziś oświadczenie Zarządu Tow. U. L. — U. L. „szczególny nacisk winny położyć na usuwanie z życia młodzieży ujemnych obyczajowo - moralnych skutków wojny”.

Potwierdza się, że osobowość nie jest koncepcją ofensywną. Stoi wyraźnie na okopach Św. Trójcy. Broni czegoś, co było, ratuje resztki, retuszuje, zachowuje umierające formy, którym brakuje dawnych warunków społecznych.

Pańska, inteligiencka osobowość była fałszywym wzorem, ale stosunkowo bogatym. Gromadziła wyrażanie najdojrzalszych konsumentów kultury.

Osobowość jaką chcą kultywować Uniwersytety Ludowe jest zlepkiem dawności obyczajowej wsi, z drobniomieszczańskimi często i pseudo - inteligienckimi nabytkami. „Szczególny nacisk”, szczególna misja UL. w usuwaniu ujemnych skutków moralnych wojny? Więc gdyby nie było wojny, jakąż rację istnienia miałyby Uniw. Ludowe?

Właśnie, to „osobowość” pańska tak przedłużała swój żywot dzięki istnieniu gminnego otoczenia.

Ratowanie, utrzymanie jej dawnej wspaniałości naprękor chamelejącym czasem i ludziami, to był powód i interes.

Więc w czasach, które idą, U. Ludowe miałyby mieć jeszcze bardziej ograniczoną rolę niż przed wojną? Jeszcze bardziej się skurczyć?

I rzeczywiście, proces ten będzie postępował, jeśli nie uwolnią się Uniw. Ludowe od idei „osobowości”, wychuchiwaną poza historyczną rzeczywistością społeczną wsi i narodu.

A nam się wydaje, że zaczynają się czasy, w których rozwinać się może społeczna osobowość nowego chłopca, ale przez realne osiągnięcie takich rezultatów, jak wieś duńska w opisanym przez nas, swoim drugim okresie.

Dla arystokracji pierwszą była — „jaźń odzwierciedlona”.

Dla nas chłopów na dorobku, na drodze do awansu społecznego w naród i Europie pierwszymi są — zadania rzeczowe do wykonania.

A osobowość? Tę — nie wyimaginowaną — ujrzymy po czasie, po pracach, po sukcesach.

Innej drogi w świecie rzeczywistym — a nie urojonym — nie ma!

Jan Aleksander Król

JAN RYBKOWSKI

Zagłada miasta Drezna (II)

(fragmenty pamiętnika)

Nie chciałem już ryzykować przejścia przez most i pobiegłem do najbliższego schronu publicznego, mieszczącego się w jednym z domów przy wąskiej uliczce zaraz nad rzeką. Schron ten mieścił się w starej, głębokiej piwnicy, nad którą wybudowany był nowy, czteropiętrowy dom.

Na dole zebrało się przygodne towarzystwo, kilku żołnierzy z panienkami, kobiety z dziećmi, mieszkańcy okolicznych domów, gdzie nie było dobrych piwnic, paru starców, paru cudzoziemców.

Natwór był zwyczajnie alarmowy, nie pierwszy raz siedzieliśmy w piwnicach.

Wojacy nie dali sobie przerwać mile zaczętego wieczoru i obmacywali swe panienki w ciemnych kątach. Starzy, mamy z dziećmi, stłoczeni wokół piecyka elektrycznego, opowiadali sobie wrażenia z dnia i ostatniej chwili, gdzie i jak kogo zastał alarm. Wszyscy byli pewni, że są to wywiadowcze samoloty sowieckie i za chwilę będzie odwołanie. Nikt nie zwrócił uwagi, że przestali przychodzić nowi ludzie, co było dość niezwykłym zjawiskiem. Usłużny starszek, stały bywalce tego schronu, wytłumaczył, że dom jest bardzo akustyczny i wystarczy na górze trzasnąć drzwiami, a w schronie jest taki huk, jak gdyby pękały bomby. Uspokojeni tym wrócili wszyscy do swych zajęć i mimo, że drzwi trzaskały co raz częściej i głośniejsze, nikt na to nie zwracał uwagi.

Po jakiejś pół godzinie wpadł do piwnicy młody człowiek o okrągłej różowej gębie i na cały schron wrzasnął: „No, dzisiaj dają nam porządne bobu!” Wszyscy obecni zaczęli nagle pytać, co jest, co się właściwie dzieje? Przybył spojrział na nas, jak na wariatów: „Jako, nie słyszycie? Przecież od pół godziny biją w nas, jak w kaczy kupur!” Miny słuchaczy wyciągnęły się nagle, wszyscy znieu chomieli w słuchaniu; zwiastun nowin, jak gdyby chcąc wywrzeć silniejsze wrażenie, teraz już półgłosem powiedział: „To jeszcze nie najgorsze, całe miasto wkrąg płonie!” Nagle dzieci podniosły wrzask i wszyscy zaczęli wcisnąć się w kąty, w załamki murów.

Był to najwyższy czas, bo nagle szarpnięte w zawiasach załapały żelazne drzwi zapasowe, zgasło światło, mury zakotły się, tynek zaczął płatami spadać na głowy. To wszystko w akompaniamencie suchego, ostrego trzasku detonacji. Huk eksplodującej w pobliżu bomby nie jest dźwiękiem, jest czymś przestrzennym, namacalnym, uciska na serce, mózg i żołądek.

Chwila ciszy — i znów — trochę dalej.

Chwila — i nad samą głową słychać zgrzyt rozstępujących się murów — eksplozja — koniec — tuman kurzu, dym, dzwoniąca w uszach cisza — sklepienie wytrzymało — a może trafiono obok u sąsiadów.

Znów nowa porcja — trzy, tym razem dalej; i znów — ale coraz dalej. Jakilowem jesteśmy uratowani, fala przeszła przez nas.

Podczas bezpośredniego niebezpieczeństwa ludzie stali jak skamieniały — wszyscy, nawet małe dzieci, z zacziśniętymi oczyma, ze skoławałymi językami. Czekano na koniec.

Gdy najgorsze minęło, wybuchły historyczne krzyki i płacz, dzieci podniosły przeraźliwy wrzask.

Niektórzy głupekowato uśmiechali się, niektórzy wdychali z ulgą.

Teraz znów nowe niebezpieczeństwo. Jakaś kobieta krzyknęła, że jesteśmy zasypiani.

Tum rzucił się do wyjścia.

W półmroku świecących zielonkawym światłem fosforyzowanych ścian, w blaskach latarek wyglądali wszyscy jak potępieni.

Na szczęście po schodach z góry zeszło paru mężczyzn i zdolał przekrzyknąć wszystkich: „Droga jest wolna, nasz dom stoi cały, wprawdzie wokół są pożary, ale nam w tej chwili nic nie grozi!”

Nagle zapaliła się elektryczność i to uspokoiło wszystkich bardzo. Jeżeli jest dopływ prądu, to skończył się naloć i nie może być tak strasznie, jeżeli nieuszkodzone są nawet przewody.

Zastanawiałem się później niejednokrotnie jakim cudem mieliśmy wtedy dopływ prądu. Fakt ten jednak wtedy uspokoił i mnie bardzo. Zamknięto szczególnie wszystkie drzwi, ażeby nie przedostawał się do wnętrza kurz i dym.

Siedzieliśmy nadsłuchując, czy przyjdą nowe serie bomb, czy odwołanie alarmu. Nie nadchodziło ani jedno, ani drugie.

Kilka kobiet nie mogło wytrzymać dłuższego czekania, wybiegły, ażeby obejrzeć mieszkanie i po chwili wróciły z płaczem, posmole i brudne, jęcząc: „Wszystko stracone, wszystko się pali, wszystko zniszczone!”

Coraz częściej zaczęli przychodzić nowi ludzie, objuczeni tobołami pościeli, ubrań; płacząc i krzycząc upychali swe rzeczy po kątach. Przez coraz częściej otwierane drzwi przenikały tumany dymu i czad. Z trudem można było już oddychać.

Zdecydowałem się wyjść, zobaczyć, co dzieje się na ulicy. Po przejściu przedsionka z hermetycznymi drzwiami i przedostaniu się na schody usłyszałem niesamowity szum wiatru

i brzęk tłuczonego się bezustannie szkła. Tu już nie paliła się elektryczność, wszystko oświetlone było migotliwym czerwonym blaskiem, idącym gdzieś z góry z ulicy.

Ostrożnie wszedłem do sieni. Poprzez rumowisko rozbitych szaf, wyrwanych futryn — widoczna była brama główna na ulicę, z nawpół wyrwanymi, ciężkimi drzwiami. Przez wyrwę wpadało ostre, żółto-czerwone, migotliwe światło. Głęb podwórza pogrążona była w ciemności, tylko po dachach świeciły już małe płomyki.

Przeciąg wiał przez bramę tak silnie, że trzeba było mocno trzymać czapkę na głowie.

Przedostałem się do bramy, chciałem wybiec na ulicę.

Pierwszy krok za bramą był uderzeniem po głowie. Nie poznałem ulicy, ulicy, którą przez trzy lata prawie codziennie przechodziłem. W niespełna godzinę zmieniła się tak gruntownie, że miałem chwilę zastanowienia, gdzie ja właściwie jestem.

Na tle czarnego nieba oświetlone własnym światłem, od środka płonące domy, czteropiętrowe kamienice rozprute do fundamentów, ściany wgniecione do wewnątrz pięścią olbrzyma; wbite w ściany, w dachy, białe pochodnie bomb zapalających rozlewają wciąż jeszcze kaskady płonących cieczy, która pełnie po ścianach, lepi się do asfaltów.

Cała ulica, jak okiem sięgnąć w prawo i lewo płonie. Bomby burzące, szalejące płomienie zdążyły powygrzyzać już w jednolitym froncie domów obszerne luki, przez które odkrywają się nowe, nieoczekiwane perspektywy.

Przez ulicę miecie huragan niosąc ze sobą masy iskiei, szkło, całe szyby, całe ramy okienne leżą powietrzem, rozbijają się o ściany i dzwonią dźwiękiem tłukącego się ciągle szkła.

Od dużego placu Nowomiejskiego dzieli mnie przestrzeń dwudziestu metrów, widzę go jako wielką przestrzeń, wypełnioną wirami iskiei. W ich migotliwym świetle przesuwają się szybko biegnące tu i ówdzie sylwetki ludzi.

Chciałem przedostać się na plac, wybiegłem z bramy; gorący wicher zatamował mi oddech. Iskry cięły jak rozżarzone osy.

Wróciłem z powrotem, popatrzyłem po innych bramach, były pełne ludzi. Tam, gdzie domy płonęły, próbowano wydostać się na plac.

Śmieli wybiegali. Po przebiegnięciu kilku kroków, trafieni jakimś pędzącym z wiatrem przedmiotem, wywracali się na ziemię, lub w lepszym razie, trzymając się za stłuczone miejsce, wracali z powrotem. Niektórym udawało się przebiec najwyżej z bramy do bramy. Tędy droga była prawie niemożliwa, wiedziałem jednak, że dom, w którym znajduję się, stoi od strony rzeki i gdzieś na tyłach musi mieć połączenie z tarasami i łakami, ciągnącymi się wzdłuż Elby. Wycofałem się z bramy na podwórze, u góry dach już płonął, ciągle jeszcze spadały odłamki szys.

W rogu podwórza ujrzałem bezradną postać starca w mundurze obrony przeciwlotniczej; stał nad odkręconym kranem pożarowym, z którego żałośnie pojedynczymi kroplami kapła woda.

Spytałem, czy nie wie o jakimś przejściu nad rzekę, nie wiedział. Zresztą nie radził mi nigdzie wychodzić, uważał, że tu jest jeszcze najlepiej. Gdy pokazałem mu płonący nad nami dach, popatrzył na mnie chwilę, odwrócił się i poszedł w głąb płonącego domu.

Zacząłem szukać na własną rękę.

Przez jakieś mieszkanie dotarłem do ogrodu, stały w nim małe domki — płonęły wszystkie, wiedziałem jednak, że zaraz za nimi musi być łaka i rzeka.

Przejście między płonącymi domami — było tu łatwiejsze, stały w dużej odległości od siebie.

Przebiegłem szybko tę przestrzeń. Miałem rację. Zaraz za domkami był mur, za nim żelazny płot, a dalej wolna przestrzeń i rzeka.

Szukając przejścia, natknąłem się na furtkę, na której był przybity szyld: „Luftschutz Notausgang” (obrona przeciwlotnicza, wyjście w razie niebezpieczeństwa). Oczywiście furtka zamknięta na klucz.

Powróciłem do schronu, odszukałem ludzi, którzy mieli służbę, powiedziałem im o przejściu, radząc, ażeby przeprowadzili tamteży ludzi ze schronu na wolną przestrzeń. Żaden z nich nie wiedział o istnieniu furtki, a tym bardziej o kluczu do niej. Ludzie porozsiadali się na tobołach, których ciągle przybywało i nikt nie chciał wyjść na zewnątrz. Potrzebny był im dowódca, który by zdecydował, wydać rozkaz, wyprowadzić. Samodzielnie przestali już dawno myśleć.

W tym stanie rzeczy zrezygnowałem z wodzostwa nad Niemcami, zabrałem tylko jedną Polkę, która przyszła razem ze mną i z którą razem przeżyliśmy pierwszy naloć; we dwójkę postanowiliśmy uciekać jak najdalej od ognia i bomb. (W konsekwencji nasza ucieczka była dość daleka, w pierwszym etapie przez całe Czechy, a w drugim przez Słowację do Krakowa).

Wydostawszy się ze schronu i po przejściu przez płonący ogród, wspólnymi siłami sforsowaliśmy mur, płot i wąski pas żywopłotu czeplającego się ubrań i osiągnięliśmy wolną od ognia przestrzeń — łaki nadrzeczne.

Zdawało nam się, że najgorsze mamy poza sobą, ale noc ta nie szczędziła nam niespodzianek i dopiero widok, który tu roztoczył się przed nami, pokazał grozę katastrofy w całej pełni. Miejsce, na którym znaleźliśmy się było właśnie tym, z którego najpiękniej wyglądało zwykle Drezno. Zespół architektoniczny widoczny w oddaleniu poprzez rzekę i most. Na pewno miliony turystów oglądało miasto z tej drogi, na której w tej chwili staliśmy we dwóje. Setki malarzy malowało go stąd. Nam jednym z niewielu ludzi danym było zobaczyć go po raz ostatni, oglądać jego dostojne piękno, spotęgowane grozą zniszczenia i zagłady.

Mimo strachu, mimo świeżo przeżytej grozy, mimo zwierzenia przeczucia, że za chwilę przyjdzie znów niebezpieczeństwo, stałem jak urzeczony.

Patrzyłem na kościół dworski, którego wysmukła wieża odbijała ostrą, ciemną sylwetkę na tle smogu płomieni, tryskających z wnętrza nawy. Dach zapadł do środka, na jego miejscu powstał krater zięjący ogniem, opasany, jak korona, wieńcem posągów, które jeszcze raz zarysowały się sylwetkami, pełnymi wdzięku i finezji.

Zamek był ciemny, tylko dziwnie wzbogacona linia świadczyła o tym, że musiały ją mocno zmienić bomby burzące. Pożar groził i tam, domy z tyłu i z boku płonęły.

Elegancki hotel „Belevue”, położony przy placu Opery, przez wszystkie swe okna rozsiewał snopy światła; iluminowany był, jak w dniu największej gali. Ostatni raz odbijał swe okna w wodach Elby, płonął od wewnątrz.

Gdzieś w czarnej głębi, pobłyskując od czasu do czasu w migotliwym świetle białą kolumn, ostrymi, czerwonymi refleksami okien, stała opera. Nie wiedziałem — płonie, czy tylko odbija blaski płomieni.

Janka (imię mojej towarzyszkii) zapytała, czy tak wyglądał pożar Rzymu za Nerona. Odpowiedziałem, że nie wiem, ale zdaje mi się, że musiał być dużo skromniejszy.

Trzeba było się zdecydować, co robić dalej. Stanie w miejscu nie miało sensu. Wybraliśmy kierunek na południe w górę rzeki. Łaki w tej stronie rozszerzały się coraz więcej i szybko można było wydostać się za miasto.

Jakie obszary miasta objął pożar, trudno było się zorientować, gdyż dym i ciemność pozwoliły ogarnąć wzrokiem tylko najbliższe ogniska i dopiero w miarę marszu wyłaniały się coraz nowe obiekty — objęte ogniem. Posuwaliśmy się ulicą spacerową, położoną tuż nad wodą, przed sobą mieliśmy dwa mosty, jeszcze w mieście, następnie łaki rozszerzały się. Tu — rzadko zabudowane dzielnice willowe odchodziły daleko od rzeki, ażeby przy trzecim moście Loschwickim znów przysunąć się dość gęsto zabudowanym przedmieściom do samego jej koryta.

Przez ten trzeci most postanowiłem przejść na stronę staromiejską, zachodnią od rzeki i udać się na przedmieście Laubegasse, które od centrum oddalone jest około 10 km i mimo że należy jeszcze do miasta, jest właściwie podmiejską wioską, odcięta od jego trzonu szerokim pasmem pół i ogrodów. Tam mieszkał mój kolega i towarzysz pracy, Czech, u niego spodziewałem się znaleźć dość bezpieczne schronienie. Zdecydowawszy się na ten plan, zaczęliśmy iść szybko w obranym kierunku.

Jeżeli ktoś myśli, że łaki wolne były od ognia, to się grubo myli. Na nie spadały przecież też bomby zapalające i cała przestrzeń usiana była małymi płomykami palących się jeszcze, lub kupkami białego popiołu już spalonych pocisków. Było to przeżwanie tak zwane po niemiecku „Schtabbomben”. Bomba taka to sześciokątna sztaba, długości 60 — 80 cm o przekroju 5 — 6 cm, w połowie wypełniona materiałem zapalającym, druga połowa pusta służy jako lotka. Zrzucone bywają od razu w dużej ilości. Na Drezno zrzucono ich sporo. Miejskami przypadała jedna na metr kwadratowy. Czasami rozrzucone były rzadziej. Płomyki ich towarzyszyły mi na przestrzeni 10 km. Tak wyglądała sytuacja na wolnej przestrzeni, gdzie pociski paliły się i gasły w trawie; przypuszczam, że dzielnice zabudowane nie były obrzucone mniejszą ilością, o czym świadczyły zresztą pożary. Między łakami w trawie płomykami snuły się, jak między nagrobkami świątiami w dzień zaduszny, cienie ludzkie, najpierw pojedyncze, później coraz liczniejsze, wszyscy szli w jednym kierunku, za miasto.

Wicher wzmagał się stale, gnał całe masy iskiei, a z niskiej, przytłaczającej wszystko chmury dymów, spadały czarne płaty niedopalonych szmat i papierów. Z prawej i lewej strony miałem coraz to inne palące się gmachy. Przez dymy na tle dalszych pożarów

ujrzałem na chwilę sylwetkę kościoła Frauenkirche, poznałem go po wieżyczkach i po miejscu, w którym stać powinien. Wspaniałej jego kopuły nie było. Na Akademii Pałacu Sztuki czerwonym blaskiem świeciły pozłocane anioły. Olbrzymi budynek ministerstwa skarbu z zapadniętą już połową dachu płonął, wyglądał jak wielki piec hutniczy. Przed nami zarysował się pierwszy z mostów, który mieliśmy minąć, most królowej Karoliny. Był cały, bomby minęły cel o parę metrów. Czarne kratery ciągnęły się szeregiem wzdłuż jego boków. Tu zobaczyłem pierwszych zabitych. Leżeli porzuceni na łacie i pod filarami mostu. Minęliśmy ich szybko. Widok około był dużo groźniejszy, więcej narzucający się, niż te cicho leżące czarne tłumoki — „byli ludzie”.

Drugi most miał mniej szczęścia, dostał celnie, zwiślały z niego pogruchotane żelaza. Za nim zaraz kończyło się ciasno zabudowane miasto i przechodziło w dzielnicę willową, rozłożoną w ogrodach. Wille te z biegiem wojny zamieniono na szpitale, które w ostatnim czasie przepełnione były chorymi, ewakuowanymi ze szpitali położonych dalej na wschodzie. Tu też szalał czerwony kur, może jeszcze straszniej niż w mieście.

Małe pałacyki, pawilony z licznymi werandami o wielkich dachach, z dużą ilością drzewa, łatwiej stawały się pastwą ognia, niż ciężkie masywne kamienice śródmieścia, płonęły więc jak kartonowe pudełka. Nie widać było nikogo, kto usiłowałby stłumić czy nawet zlokalizować pożar, gorzej — nikt nie starał się ratować chorych. Silniejsi wyskakiwali w biegu z płonących budynków i szli razem z całym tłumem dalej za miasto, słabsi pełzali, ciągnąc za sobą płonące bandaż, gipsowe nogi, niejednokrotnie całe rusztowania. Doświadczony się na łacie obok rzeki, nawpół nadzdy i nawpół żywi, długim szeregiem pokładli się na jej brzegu.

Minąłem i tę dzielnicę. Z prawej strony za rzeką były jakieś magazyny paliwa, o których nie wiedziałem przedtem. Teraz ogień szalał tam straszliwie. Beczki wyskakiwały w powietrze na wysokość 10 — 15 metrów, pękały z hukiem i kaskadą płomieni spadały w dół.

Wędrowka nasza trwała już godziny, a z ciemności wynurzały się wciąż nowe i nowe pożary, te które minęliśmy, zacierały się w ciemnościach za nami.

Najstraszliwszy sen, najbujniejsza fantazja nie mogłaby wyzwarować takich obrazów, jakie przeżywałem w rzeczywistości, a był to dopiero wstęp do tego, co miały przynieść najbliższe godziny.

Dotarliśmy wreszcie do ostatniego mostu Loschwickiego, był mocno uszkodzony i z trudem przedostaliśmy się na drugą stronę. Domy na obu przyczółkach rozbite były bombami burzącymi.

Tu nie było pożarów. Świeciły tylko dalekie łuny. Tym groźniej jednak i niesamowiciej wyglądała ulica. Rozbite domy zasypały całą jezdnię. Wśród masy dzwoniącego pod nogami szkła, barykad z wyrwanych futryn okiennych i drzwiowych, w kurzu i czadzie po niedawnych wybuchach, snuła się wśród ciemności masa ludzi, jak mrówki w rozdeptanym mrowisku. Zaledwie oddaliliśmy się od mostu o kilkaset metrów, kiedy syreny znów zaryczały alarm. Godzina była około drugiej w nocy. Jedyną moją myślą było w tej chwili wydostać się znów nad rzekę. Wiedziałem, że niedaleko z prawej strony są dwie duże fabryki „Zeisikon”. Z lewej strony rzeka. Skreśliśmy w pierwszą przecznicę na lewo i co sił w nogach popędzili wśród absolutnych ciemności, ażeby jak najdalej być od fabryk i jak najbliżej rzeki. Gdy dobiegaliśmy do łak nadbrzeżnych, słychać już było zbliżający się szum motorów. Teraz jeszcze szybki marsz wzdłuż rzeki, ażeby jak najdalej być od mostu. Szum w górze rośnie, przechodzi w grzmot. Nagle na czerwonym niebie zapalił się żyrandol.

Spojrzałem w tył, na boki — dokoła nas wielkim kołkiem nad całym miastem świeciły te piękne, niestety za dobrze znane mi ze złych doświadczeń choinki. „Christbäume”, jak mówili Niemcy.

Nazwa ta powstała od kształtu sygnału świetlnego, jest to rakietą w formie piramidy, składającej się z kilkunastu pięknych kolorowych kul. Razem wyglądało to, jak oświetlona choinka. Iluminacja ta byłaby cudowną atrakcją podczas nocy świętojańskiej, tu zwiastowała śmierć i zniszczenie.

Sygnałami tymi oznaczano skraje celu. Eskadry bombardujące, lecąc za samolotami oświetleniowymi, całą przestrzeń oznaczoną pokrywały systematycznie miejsce koło miejsca dywanami z bomb. W tej chwili ważnym dla nas było, czy znajdujemy się w kręgu śmierci. Nie bez przykrości stwierdziłem, że niestety tak.

(Dokończenie nastąpi)

JAN ROSIŃSKI

N o c q

Młyn młł zboże i śpiewał. Muzyka ta płynęła jednostajnie, ciągle, z pośpym hukiem i hałaśliwym szczeniem zębujących się kół, z stękaniami pasów, łoskotem wielkiego koła, obrośniętego zielenią, które obracała wściekła woda, spadająca z wrzawą, z pluskiem i rozbijającą się w tysięcznych rozpryskach o kamienie.

Melodia ta mieszała się z żalonym świstem wiatru, który chłostał swymi podmuchami.

Taktem pracy dudnił młyn. Podłoga strzelała, jękały wiązania, gadały deski, dzwoniły wrzesciade.

Na widok dnia zsuwała się wolno dziurawa gwiazdami kurtyna nocy, zgaszczając na zachodzie jasność a wiodąc za sobą zbitą, zabarwioną na granatowo mrok. Dal zmieniała się w sylwetkowe kształty chałup, łasków i drzew, tworzące kłębiaste fontanny cienia i geometryczne figury.

O tej porze przez podwórze przeszedł mężczyzna, kury gdałając pierzchy, on zaś wszedł w sieni, otworzył drzwi, które skrzypnęły. W sieni nie było nikogo. Szybkim ruchem oczu oglądał mroczne ściany, wiszące na nich kapoty, kopnął nogą jakiś worek i puszkę, która brzękła żelaznym, zardzewiałym odgłosem i w ciemny mrok kąta zagłębił rękę; ale kąta był pusty, natknął się tylko na pustą flaszkę i bambusowy drzewiec biczyska.

Z za drzwi, po glinianej podłodze zadudniły kroki bosych nóg, skandowane stąpieniami pięt. Skurczył się cośniecoś i wpakował do oczu błagalne spojrzenie, pukając jednocześnie.

Znała drzwi się otwary. Wychyliła się postać kobiety.

— Kto tam?



rys. St. Cieloch

— Niech będzie pochwalony — cedził cicho, pokornie.

— Na wieki. Kto wy jesteście?

— Katolik... biedny... wysiedlony... głodny jestem, droga pani!

Przypatrzała się chwilę na zgietą kształt człowieka i trochę z musu, gdyż nogę już położył na progu, trochę z litości, ale z mniej, nieserdecznej cofnęła się mówiąc:

— Więc chodźcie, zjecie coś!

W izbie zaś dodała:

— Poczekajcie chwilę, zagrzeję wam mleka!

— Dziękuję, dobra gospodni — rzekł — poczekam... Ot ciężko człowiekowi na świecie... — westchnął głęboko.

— Cóż was tak przygniała? spytała Bronka od blachy.

— Ot! Co gadać! Niemcy ścigają! Włóczy się człowiek, jak ten bepański pies. Nigdzie miejsca nie zagrzeje. Dobrze, że żyje jeszcze!

— Niemcy ścigają? — zapytała odwracając się.

— A tak — ogłędął się po izbie — tu u was ludzie swoi, Polacy, mogą tedy rzec.

Zaczął opowiadać:

— Byłem gajowym, syn mój poszedł w las do „Jedrusiów"... Co jakiś czas zjeżdżali do leśnego Niemcy z regimungu na polowanie. Za każdym razem ja synowi dawałem znać i robili zasadzkę... Pociągali do żandarmierii, nas z leśnym, że niby byliśmy zmówieni, ale upiekało się, bo nasze chłopaki nie omieszkały i nam zedrzeć dla porozu kapite z pleców lub podbić oka, zostawić bez butów... Jednego razu powinęła im się noga. Niemcy postrzelili jednego i bronili się krzepko. Zjechała zaalarmowana żandarmieria... Chłopak bity wysypał... Trzeba było wiać zostawiwszy dom... Ot, wszystko co mam, to

na sobie... Takie moje dzieje! — Przypatrzył się gospodni, która stała plecami do pieca pilnie słuchając i po chwili ciągnął dalej:

— Ale nie żal człowiekowi! Bóg świadczy! Bo nasze chłopaki zdobyły przez to kilka wybornych automatów... Ooo! Są to dzielne dusze, młode, harde a odważne!

— Nie widziałam ich jeszcze — rzekła cicho Bronka.

— Nie? Żałujcie! — mówił — idę teraz do nich z meldunkiem. Gdy człek się poniewiera i nie ma nic do stracenia, niech chociaż się przysłuży!

Przyszedł potem Fredk i poczęli się rozgadywać o Niemcach, obozach koncentracyjnych z drutami kolczastymi, egzekucjach po miastach, pacyfikacjach i bezliku okrucieństw, jakie czynili. Wreszcie rozmowa przeszła z powrotem na partyzantów.

— Przychodzą tu czasem...

— Wszędzie są! — potakiwał.

— Zbrojni po zęby! Co?

— Ha! Same automaty... i popijamy czasem!

— A wesole chłopaki! — dorzuciła Bronka — jakby im się powodziło po pańsku i nie byli ścigani!

Donośny głos wywołał Fredka.

Wyszedł.

Mleko zagrzało się na kuchni, więc gospodyn postawiła je przed przybyłym i ukrociła mu sporą kromkę chleba.

— Jedzcie! — rzekła.

Stłamsił papierosa i przysunął się do stołu.

Gdy jadał, drzwi chaty otwary się i wszedł Piotr, a przed nim wbiegł głośniejszy hałas walców.

— Jestem wściekle głodny! — rzekł — Bronka, daj coś zjeść!

Dojrzawszy siedzące, spytał żonę:

— Kto to?

— Jakiś biedny człowiek, ścigany przez Niemców.

Piotr usiadł przy stole, cisnął czapkę na ławę, z której się zadymiało maką i wyciągnął pudełko z tytoniem, poczęł kłęcić papierosa, przyglądając się nieznajomemu. Coś dziwnego było w twarzy przybysza, który pił mleko, chłapiąc i pogryzał chleb wolniutko, całkiem jak człowiek, co nie jest głodny. Bronka postawiła przed Piotrem garnuszek dymiącego mleka, przybrany pochlebającym podniebieniu kożuszkami i ciasto z marmoladą. Nieznajomy spod ciemnych brwi rzucił zaskrobnieniem okiem na białą, przekładaną marmoladą bułkę młynarza i swój pośny chleb, a później podniósł wzrok na twarz obserwującego go Piotra. Zmierzyli się spojrzeniami i poczuli do siebie niechęć. Pomimo to Piotr chciał naprawić drobny nietakt wobec dziada, którego ubranie było bez łatki i dziury, tylko zmieścił i zaplamione na kłapach, jakby od częstego używania po pijanemu słodkich wódek. Ukrajał pajdę bielutkiej bułki z ciemnymi wykrętami marmolady i postawił ją przed nieznajomym.

— Jedzcie!

— Dziękuję! Bóg zapłać... Nie lubuję się, to nie krzepi... Ja „takich” nie jadam — słowa kipiwały ironią.

— No! Bez ceniegieli! — rzekł Piotr, którego dobry zamiar postawił w śmiesznej sytuacji tłumaczenia się. Zdziwił się nie zwykłą odmową nieznajomego, bo nie mógł go zrozumieć i zaniepokoił się jego ironiczną odpowiedzią, doznając onieśmielenia, chcąc odgadnąć z czego „ono” pochodzi, zaczął zerkać jak człowiek skryty a jednocześnie nieśmiały, spod czoła — raz i drugi i kościata, szeroka twarz, z silnymi szczękami, rogatymi łukami ciemnych brwi, a prostym trzonie nosa i brodzie porośniętej gestym zarostem, o skroniach przypruszonych siwizną, z karkiem wciągniętym w ramiona — wydała mu się brutalną maską. Za którymś zerknięciem przyłapał się powtórnie na tajemnym śledzeniu. Piotr skończył jeść. Odsunął garnuszek i niedbale włożył czapkę na głowę, wziął w usta papierosa, podpalał go zapalniczką zrobioną z wystrzelonej kuli karabinowej i dmuchając dymem, podsunął przybyszowi tabakierkę. Ten także skończył jeść, zagłębił rękę w kieszeń, szukał chwilę i wyciągnął stroczonego machorkowego. Nie przyjął podanej mu tabakierki. Piotr zatarł zapalniczkę. Podany sobie ogień przybysz wziął z ręki Piotra. Zapalił. Zdmuchnął dymem z nosa i ogłędął huskę, gdzie wyrzyta była cyfra 1942.

— Na co tak patrzycie? — spytał Piotr.

— To niemiecka już huska.

— ...więc...

— ...nic... Tylko tak mówię — rzekł zimno, bezwyrzawo, a oczyma zatopił, jak dwoma nożami w Piotrze. Złożył nogę na nogę i usiadł beztrósko, prosto, nie

jak dziad, i znów popatrzył cynicznym wejrzeniem. Potem obrócił się na stolku, odchylił firankę i spojrzał za okno. Szarzało wieczorem i na horyzoncie ciemne, długie warstwy chmur nagromadziły się na seledynowym błękitcie, naszpikowanym już mrugającymi gwiazdami, jak kolumna do odmarszu. Tymczasem Bronka zwróciła się do męża i zagadnęła go o coś, co uwagę Piotra odciągnęło od nieznajomego i jego dziwnego zachowania się.

Piotr, patrząc na żonę odnalazł w sobie to zadowolenie, jakie odczuwał, gdy była blisko niego. Niepełny rok, jak był po ślubie. Z dumą zauważał z tygodnia na tydzień, że grubnie w pasie. Widok żony wyrwał go na chwilę z izby i uniósł w jego własny świat marzeń... Przypomniał jednak sobie po chwili o nieznajomym. Skreślił ku niemu głowę, w kopącym świetle lampy naftowej, dojrzał coś blyszczącego w jego rękach...

— Co to? — spytał — nachylił się; żona zagłębła mu przez ramie.

— Nic — odparł spokojnie przybysz, podnosząc zwolna głowę i przypatrując się wrażliwym, jakie na nich zrobił, z stalowym uśmiechem na rozchylonych wargach, z ostrym ognikiem za cienką szparką zwężonych powiek.

— Rewolwer — szepnęła Bronka.

Piotr zdrewniał i wyczuł nad chatą jakąś ciemną chmurę, czarną, złowrogą, która otuliła ją całą, zatkała okna, podparła drzwi i z której niebawem musi rąbnąć piorun, wydzierając im życie.

— Rewolwer — powtórzył.

Nieznajomy kiwnął palcem na niego. Piotr podszedł, nachylił się i wtedy z warg przybysza spłynął do ucha Piotra złowieszczy szep:

— Słuchaj... Dwa tysiąców marek od główki. Rozumiesz?... tylko bez szmeru... Taniutko możecie się okupić. W przeciwnym razie wdepniecie na listę...

— Co?... Co?... Dlaczego?!

— Tsssytt! — szepnął przybysz. — Bez harmideru... Tylko dawać pieniądze!

— Ktoś pan jest?

Zmierzył ją wzrokiem.

— Ja wiem, kto wy jesteście! To mi wystarczy!

— Piotr! Co będzie?... Piotr! — szepnęła boleśnie żona.

— Trupy, gdy nie dacie! — powiedział przybysz ze śmiechem, który z wewnętrznej chichotania przeszedł w rozpasaną kaskadę. — Auto przyjedzie z żandarmierią — mówić dalej i... koniec.

Piotr wybiegł.

Wtedy młoda kobieta zgłębiała się we dwoje i gładziła przybysza po kolanie.

— Panie! Nie rób pan... Za co?... Skąd weźmiemy?... — a jemu się wewnątrz przewracały z ukontentowania. Wzięła porowatą jego dłoń i ciągnęła ku ustom, szeptała:

— Panie! Bój się Boga! Nie rób! My nie winni — a w duszy przeklinała chwilę, gdy przyjęła tego człowieka pod dach i była szczerą.

Po chwili jednak usta mu się zacięły. Cofnął gwałtownie rękę i tracił ją końcem buta w pierś.

Za chwilę do izby wtłoczyli się: Piotr, jego brat Fredk, i bratowa Anielka.

Nieznajomy powstał, i bawiąc się dalej rewolwerem, rzekł:

— Trzymajcie języki za zębami — dla własnego interesu, lub jak chcecie trąbiecie na alarm... tak czy tak, dla was się źle skończy, gdy nie zapłacicie. Przyjdę jutro wieczór. Pieniądze mają być.

— Poczekaj pan! — rzekł Fredk, wysuwając się. — Pogadamy! Napiesz się pan moim czego z nami. Anielka...

— Nie chodź pan! — prosiła Anielka i wybiegła, a po chwili wróciła z flaszką wódki zakrapianej na zielono, łokciem kielbasy i kieliszkami. Poczęła nalewać. Nieznajomy się skrzywił. Piotr odgalił jego myśli i postawił trzy szklanki, nalewając jemu po brzeg, sobie i bratu do połowy.

Ręka z rewolwerem powędrowała do kieszeni, ale tkwiła tam z palcem na cynglu.

— Na dobry interes — uśmiechnął się i wychylił.

Bracia wychylili za nim.

— Może coś utargujemy — odgwał się Fredk. — Pan to rozumiesz... Ja wiem, wszyscy muszą „żyć”... ale źle się mieje. Mały odsyp się bierze, bo ludzie pieszczą...

— Eee! Młynarze! — przerwał — a złoty i dolary to ładujecie do schowka? Co? Znam ja was!

— To może inni, nie my...

— Młyn reperowaliśmy! — wtrąciła Anielka. — Dużo poszło, prawie cały roczny zarobek.

Po kieliszku siedli. Fredk palił papierosa, pogadując, a nogą dźwigał siekiere, co leżała na ziemi, pod ławą.

— Należno, Anielka! — rzekł — napijemy się jeszcze. Pan nie będzie taki twardy, zrozumiesz!

— Wy szczwane, chytne lisy! — mówił nieznajomy — co dla was znaczy dać po czterech tysiącach złotych od głowy. A w koncentracji i tak wam nic z „forsy”, którą dusicie!

Serce Anielki ścisnęło się trwogą śmiertelną. Mrugnęła na Fredka, by się zgodzić. Ten rzucił niby przez nieuwagę papierosa i schylił się po niego, stawiając obok nogi siekiere.

Nieznajomy wypił jeszcze jedną pełną szklankę, szybkim dorożkarskim ruchem, bez mrugnienia, lecz bacznie patrzył na wszystkich przymrużonymi oczyma i prawą rękę trzymał wciąż w kieszeni. Gdy odstał szklankę i gryzł kielbasę, między jednym kęsem a drugim rzucił beztrósko:

— A pocóż to panu siekiera? Kielbasę chcesz rąbać?

Młody młynarz zblił nagle i sponsorował. Kobiety trwożliwie spojrzały po sobie. Piotr zaniemówił przelekty, że Fredk rzucił się teraz na przybysza i będzie niebezpieczeństwo.

Poza oknem w świetle mignęła czyjaś twarz białym blaskiem. Wszyscy tam spojrzeli. Domownicy zatrzwożyli się. Koło domu można było chodzić bezszeszelnie, gdyż młyn polykał wszystko swym szumem.

— Kto wie, kto może tam być? — pomyslieli.

Nieznajomy tymczasem nacisnął czapkę i ruszył ku drzwiom, od których rzucił:

— Dziękuję za serdeczną gościnę! Po dwa tysiączki marek... Jutro wieczorem! — i wyszedł.

— Co robić? — spytała Bronka.

— Gdzie jest Janek? — spytał Fredk. Młynarczyk zawołany zjawił się.

— Słuchaj! — tłumaczył poważnie Fredk — goń za tym gościem, co wyszedł od nas i poszedł w stronę kościoła. Zobacz, gdzie poszedł! Idź za nim, choćby do innej wsi! Smaruj!

We młynie tymczasem szły szept i narały.

— Pieniądzy dać nie damy! — rzekł twardo Piotr.

Po godzinie wrócił Janek.

— Gdzie poszedł?... —

— Jest u Magdy Wielkuzianki i robią „bibe”. Stałem pod oknem i patrzałem. Cwany Kuba też tam jest. A ten stary koło pierwezi wybiera się do pociągu...

— Do pociągu? — powtórzył Fredk. — Słyszalesz napewno?

— Słyszałem! Jak tu stoje!

— Do pociągu — kombinował w myśli — więc będzie przechodził przez leszczyńską, przez wzgórze, koło kapliczki i przez las... Dobrze!

Janka odesłano do młyna.

Dwaj bracia i ich żony skupili się ciastnym kołem. Fredk mówił:

— Nikomu ni słowa, bo będziemy w ście! — i tłumaczył szeptem żywo gestykulując.

U Magdy pito do późna. Kaziu Galas zdrzemnął się na siedząco „rozebrany” ciepłem i wódką. Ona sama, pijana, z powiekami zsuwającymi się co chwilę, odsunęła jego rękę, obejmującą ją, wstała i chwiejnie podeszła do okna, które otwarła na oścież, łapczywie łykając świeże powietrze nocy. Powietrze było zimne, ocuciło ją lekko. Padła potem na krzesło, zapaliła papierosa i trochę nalac, trochę drzemając, poddając się błogiemu i nudnemu chwilami kołysaniu, przypomniała sobie ich poznanie, na peronie, w brudzie bufetowym i śmierdzącym ścisku i łoku, gdzie Kaziu pełnił służbę — słuchał kto oś mówi, ich romantyczna znajomość, ich miłość. Poznała co dobrze i odpy po pijanemu z nie naturalnie blyszczącymi oczyma chępli się swą władzą i odpowiadał, jak wydobywał zeznania z ofiar, śmiała się do rozpuku. Wiedziała, że był na usługach niemieckich. Było jej to na rękę — wszak już kilkanaście razy przewoził jej towary, ulegające konfiskacie i dawał jej pieniądze na handel. Wzajemnie dawała sobie, swą chatę na schronienie i wytchnienie po „pracy”. Wiedziała, że jest ładna, w pamięci miała jeszcze świeże sukcesy miłosne, gdy była jedną z posługaczek w hotelu. Zamazany obrazami przemknęły jej przez myśl poszczególne sceny tego pikantnego życia. Obrazy te utonęły po chwili, zamazały się, opadły w wirującej punkcikami ciemności. Powieki zamknęły się same. Głowa opadła jej na piersi i zachrapała — lecz właśnie to własne chrapanie obudziło ją. Otwor-

ła oczy, których spojrzenie padło na śpiącego z głową na piersiach Kazia. Spojrzała na zegar.

— Jeszcze ma czas — pomyślała, a później rozmawiała sama ze sobą. — Ma jucha szczęście, już dwa razy strzelali do niego ci z organizacji i wylizał się. I do tego nic sobie z nich nie robi i „sy-pie” dalej, gdy potrzeba.

Podobała jej się ta junakeria, ta bezczelność, ta fantazja strażnika w swej „robocie” i jego głupie szczęście. Wiedziała, że był podłym i bezwzględny dla innych, że pomimo wierniej służby Niemcom, za pieniądze wypuścił wielu i byłby się sprzedał, ale incognito. Dla niej — był tylko wiernym kochankiem. Czy wiernym naprawdę? Nie brała pod uwagę ewentualnych stosunków, jakie miał lub mógł mieć. Wierność znaczyła, że przyjeżdża, zostawia pieniądze i przewozi towary. Bała się jednak trochę, tajemnie, podskórnie, tych jego wysp — iż to może się na niej skrupić i dlatego kazała mu być ostrożnym, powiedziawszy mu otwarcie w oczy:

— Nie chcę za twe sprawki wisieć! Albo miedź przez partyzantów spalona chałupę. Bądź tedy ostrożny, bo jak nie, to oczy wydrapię... zemszczę się... A umię się mścić! — mówiła, łyskając oczyma, jak świecącymi blaszkami.

Pamiętała, jak wziął ją wtedy w ramiona i śmiał się, ciesząc, że odnajduje w niej „dużę”. Śmiał się, ale zastosował się do tego. Zjawiał się nocą i nocą niknął.

Spojrzała na zegar. Było przed dwunastą. Koło wpół do pierwszej miała go zbudzić.

— Poleżę sobie do tej chwili wygodnie — myślała i przykryłszy światło, wyciągnęła się na łóżku.

Kołysanie, przypływające i odpływające fale porwały ją ze sobą w ciemną głęb. Czula jeszcze przez chwilę gnienie własnych rąk, złożonych na piersiach, alkoholowy szum w głowie, w uszach, zamęt przed oczyma i tępy, rozpryskujący się pod czaszkę ból. Wszystko to zmieszało się, skotłowało, rozsypało. Zdawało się jej, że leci w bezdenną przepaść; usnęła ciężkim snem.

Kaziu zerwał się kilka minut po północy, spojrzał na zegar i przeciągnął się z ewajac głośno. Podkreślił lampę. Magda leżała w kciach na pierzynie, chrapiąc jak chłop. Uśmiechnął się — miała go zbudzić. Nałożył czapkę i skreślił jeszcze papierosa na odchodnym.

Tymczasem od okna oderwał się otulony kołnierzem Fredek, stojący dotychczas w malwach i podążył szybkimi krokami ku kapliczce na wzgórzu. Z gąszczów wysunął się Piotr z kółkiem w ręce.

— ...Co?!

— Idzie już!

— Sam?

— Sam! Chowaj się! Pali papierosa, będzie ogień widać!

Serca chciały im rozsądzić piersi. Dziwne wzruszenie ogarnęło obydwu. Nie mogli nadażyć oddechać. Nawet nogi pod nimi zadygotały i trzęsły się pomimo woli. Noc była ciemna. Słaby wiatr ruszał się czasami i trzącał drzewa na skraju. Schylały się i podawały dalszym melodię i szelest biegł przez zarośla, górą, koronami drzew, jakby tęgi kształt bez nóg przepychał się szybko gęstwiną. Gdzieś w dali drogą przejeżdżało auto i powiew przyniósł smród rozrzedzonej, spalanej benzyny i odgłos pracującego silnika... i ptak zawodził w gąszczach. W pobliżniej konicynie i pszenicy grały koniki polne i świerszcze. Od pół, od wsi wionął z ciepłym, wilgoć w sobie mającym wiatrem, z strzępami podartej mgły nadrzecznej, — zapach lip, macierzanki, mięty, pomieszane wraz z śliskim odorem stawu rybnego. Z lasu szły zapachy żywicy. Suche gałęzie pękały głośno i bracia patrzyli „wyszczeczając” oczy, czy krzewiny nie rozsunie czyjaś ręka i nie wyjrzy straszna twarz. Nagle odezwał się puchacz, przeraźliwym, płaczącym głosem, który dreszcz w nich wzbudził i wzniecił strach, że zadzwonili zębami.

— Tssytl!

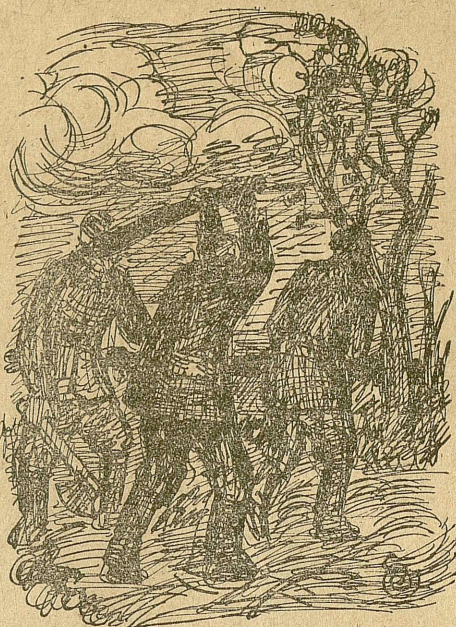
Ognik szedł w ciemnościach. Huśtał się wraz z zamachem ręki; podskakiwał i wtedy plamami jawiły się oświetlone kości policzkowe, czoło, silna szczęka. Zbliżał się. Słychać było kroki po kamieniach, a czasem ciche stąpanie po trawie.

Piotr zasadził się. Wybatużył oczy. Skurczył się w sobie dla zacerpienia całej swej mocy, którą okazywał przy dzwiganiu worków z mąką. Kółek miał wzniesiony nad głową, objęty mocno w obu dłoniach, trzymany teraz bez drżenia. ...i ognik doszedł!

Trach!

Zaszeleściły gałęzie. Głuchym uderzył Piotr.

Okrzyk zamął na ustach konfidenta i jego ciało zważyło się na ziemię.



rys. St. Cieloch

Bracia wypadli z gąszczy. Fredek pochylił się szybko nad leżącym.

JAN MADEJ

Wszystko, co polskie, musimy wchłonąć

Wielkość obszaru ziem odzyskanych, bezwzględna konieczność nasycenia ziem tych elementem polskim i nikłe ślady polszczyzny na terenie Śląska Dolnego, Pomorza Zachodniego czy Ziemi Lubuskiej, terytoriów od setek lat wystawionych na wpływy germanizacyjne, przesłoniły nam w dużej mierze zagadnienie, które dla części terytoriów z ziem zachodnich jest najważniejsze, dla reszty zaś — z pewnych względów, o których niżej, ma również niejaki choć ograniczone znaczenie. Chodzi tu o zagadnienie miejscowej (autochtonicznej) ludności polskiej na Śląsku Opolskim, Mazurach oraz pograniczu Pomorza i Wielkopolski.

Pochód Polski na ziemie zachodnie rozpoczęliśmy przede wszystkim pod hasłem akcji osadniczej. Tymczasem repolonizacja polskiego zachodu, zwłaszcza na ziemiach, gdzie mieszka miejscowa ludność polska to nie tylko zapewnienie luk po Niemcach, lecz także utrzymanie, utwierdzenie i wydobycie z pod pokostu niemieckiego polszczyzny miejscowej.

Podkreślano już nieraz, że nie należy zbyt łatwo i pochopnie osądzać według zewnętrznych cech — skazanej mowy, obcego obyczaju i niemieckiej kultury materialnej — ludności, która np. na Śląsku Opolskim jeszcze w roku 1921, w warunkach największego nacisku ze strony Niemiec dała 251.000 głosów optujących za Polską. Dziś, kiedy z najbardziej wysuniętych przyczółków granicznych ziemie zamieszkałe przez Ślązaków, Kaszubów i Mazurów zmieniły się w prowincję położoną głęboko w zapleczu dalszych odzyskanych terenów, terenów, które zasiedli ludność polska, nie podlegająca nigdy w przeszłości wpływom niemiecznym — zmieniła się także sytuacja tej grupy ludności, która dotąd na wpływy te była bezustannie wystawiona, zmieniły się obiektywne warunki, jakie po latach niemieckich zabiegów germanizacyjnych nadawały kościeł świadomości narodowej tej gromady ludności. Odwołując się do wyobrażeń ze strategii ostatniej wojny powiedzcie możemy, że jeśli chodzi o ludność Górnego Śląska, Mazurów czy Kaszub, to mamy tu do czynienia z kotłami polskości, których wchłonięcie i ogarnięcie uwarunkowane jest ich obecną sytuacją geopolityczną.

Byłoby marnotrawstwem niczym nieusprawiedliwionym, gdyby 22 milionowa, dziesiątkowana biologicznie, a przy tym prężna moralnie demokratyczna Polska, miast przygarniać i działać atrakcyjnie na blisko milionową masę ludności objętej poruszoną przez nas zagadnieniem, zrezygnowała z niej, w imię uczuciowych pobudek zrozumiałej zresztą nęchoci i obawy przed niemieckim pokostem, pod jakim drzemie polskość tej ludności.

Jest jeszcze jeden wzgląd, dla którego pozyskana i utwierdzona w polskości ludność Opolszczyzny, Mazurów i Pomorza może i powinna w obliczu ogromu zadań odegrać rolę istotną na terenie całego polskiego

— Zemdlał! — rzucił, i porwał leżący bezwładnie kształt, zarzucił go przez ramię i rozkazując rzekł: — Bierz siekiere! Chodź!

Zginął w ciemnych zaroślach i biegł uciekając przed nieznanym świadkiem zajścia. Zdawało im się, że ktoś napewno to widział, że ich śledzi. Kluczyli więc, biegli naprzód, byle tylko uciec przed rozpetaną imaginacją, błici gałęziami po twarzy, zdyszani, mokrzy cali. Na skraju małej polanki Fredek, któremu już czerwieniło w oczach z wyczerpania, rzucił bezwładną postać na ziemię i szepnął:

— Kop... tu... we mchu... — potem rękawem otarł sobie twarz i gdy brat odrzucił ziemię, a jemu się oddech nieco uspokoił, wziął siekiere, splunął w dłoń, wymacał w ciemności głowę kapusia, przystawił się, zrobił zamach i rąbnął na odlew...

Dwa uderzenia zegaru przypływały do nich z daleka, od wieży kościelnej, gdy przekradali się przez kładkę, przez wieś, wymijając domy, gdzie byli kundla, dąc szybko miedziami — ku młynowi. Szum spadającej wody było już słychać.

Na pobliskiej łące Fredek zanurzył ręce w rzęście zroszonej koniczyń i mył je, potem wiechem mokrej trawy przetarł twarz. Piotr poszedł za jego przykładem. Zimna rosa przyniosła im prawie całkowicie spokój. Melodia pływ-

nąca od młyna ukołysała młynarskie sumienia.

Weszli w sien. Zapchnęli zasuwkę.

— Więć już — rzekł Piotr.

— Już — odparł Fred i odetchnął głęboko.

W gęstych ciemnościach silnie uściśnęli sobie ręce. Potem każdy wszedł do swej izby.

Łóżko zaskrzypiało. Bronka jeszcze nie spała. Podniosła się.

— Piotrusz — rzekła cicho.

— Po wszystkim — odparł Piotr, i głos żony w ciemnościach, wymawiający jego imię, ciepłota izby, ten domowy zapach, równomierny takt zegara ściennego, wreszcie świadomość, że „już po wszystkim”, że burza minęła, napoiły go takim szczęściem, że uśmiechnął się.

W chwilę potem ręce kobiety objęły go i pierzyna nakryła puchem.

Wzbrało w nim zadowolenie, łaskoczące go dotknięciem aksamitu, że odgonił niebezpieczeństwo, ciężące nad ich chatą i może spokojnie, bez obawy, rozkoszować się pożyciem małżeńskim i cieszyć się swoją „kobietą”.

Ogarnął ją krzepko nabrzmiałymi od muskułów ramionami i teraz, gdy go nikt nie widział, zrzucił z siebie maskę despoty i zaczął spowiadać się żonie z wrażeń, myśli, i obaw i nadziei — a ona bez dumy słuchała.

8. XII. 1945.

Jan Rosiński

pamiętać trzeba o tym, że każdy raz stracony Polak, stracony jest na zawsze.

Bez przesady powiedzieć można, że zagadnienie narodowościowe, czy też ściślej — narodowe na Śląsku — to zagadnienie atrakcyjności kultury polskiej. Jak przedstawia się ona na tych ziemiach odzyskanych, gdzie zamieszkuje autochtoniczna ludność polska? Jest to ludność o niewątpliwie wysokiej kulturze materialnej (niemieckiej), poza tym ludność, której łączność z polskością opiera się na elementach archaicznej, regionalnej kultury ludowej. Ludność ta spychana politycznie i ekonomicznie w dół społeczne przez Niemców, utrzymywana była przez długie lata w zasadach dużej społecznej karności. Przywiązanie do regionalnych wartości kulturalnych polskich zachowało się u niej z tradycjonalistycznym, zachowawczym stosunkiem do instytucji życia społecznego: religii, rodziny itp. Ludność ta wrażliwa jest na rozluźnienie dyscypliny społecznej i ocenia je negatywnie.

Jakież stąd wnioski?

Wysuwa się kilka postulatów.

1. Ostro walka z przejawami takiego postępowania ludności napływowej, które by mogły w oczach miejscowych Polaków obniżyć wyobrażenie o kulturze polskiej.

2. Unikanie wszelkich form społecznej dysocjacji, obniżających autorytet polskości, pojmowanej tu jako pewną jedność.

3. Oparcie poczyną kulturalnych na bazie istniejących elementów kultury ludowej.

Tu wysuwa się dla polityki kulturalnej nowe ważne zagadnienie. Niemiecka polityka zmierzała mianowicie do wyzyskania regionalizmu ludowego polskiej ludności zachodniej w celach separatystycznych i niejednokrotnie za pomocą narzędzia tego osiągała daleko idące wyniki. Śląsk, Mazur, Kaszub — były to pojęcia służące do przeciwstawienia pojęcia Polaka. Niebezpieczne sformułowania w rodzaju: „My Kaszubi musimy zachować naszą odrębność kulturalną i od Niemiec i od Polski” (spotkać się z nimi można dziś jeszcze na łamach pism takich jak np. „Zrzesz Kaszubski”) muszą ustąpić miejsca głębokiemu uświadomieniu ludności śląskiej, mazurskiej czy kaszubskiej, że ich kultura regionalna jest częścią składową kultury polskiej. „W przeciwstawieniu do tradycyjnej polityki niemieckiej i do błędnej polityki sanacyjnej nie będziemy na tym terenie tworzyć żadnych pośrednich regionalno - politycznych przybudówek do gmachu naszej Rzeczypospolitej” — stwierdzają wytyczne postępowania przy procesach weryfikacyjno-rehabilitacyjnych, opracowane w woj. śląsko - dąbrowskim. Zadanem naszym jest jaknajrychlejsze osiągnięcie jedności narodowej, jedności pojętej szeroko, która by umiała wchłonąć na Zachodzie wszystko co polskie, która by zgodnie z słowami wojewody śląsko - dąbrowskiego gen. Al. Zawadzkiego nie dopuściła do oddania „ani jednej duszy polskiej”.

ZYGMUNT STOLARSKI

Wobec najważniejszej sprawy państwa

SPOJRZENIE W PRZESZŁOŚĆ

W tych dniach obchodzimy pierwszą rocznicę odzyskania Ziemi Zachodnich.

Odzyskalismy ziemię, o której od wieków, jeszcze na długo przed ustabilizowaniem się naszej państwowości, toczył się spór i ofiarną walkę z zachodnimi sąsiadami. Czy nazwiemy ich plemionami germańskimi, czy Marchią Brandenburską, czy Zakonem Krzyżackim, czy Królestwem Pruskim, czy wreszcie Rzeszą Niemiecką — zachodni sąsiedzi Polski byli jej największymi wrogami. W ustawniczych wojnach z nimi granice Słowiańszczyzny przesuwali się coraz dalej na wschód. Wszystkie podboje tłumaczyli zawsze Niemcy historycznymi prawami. O żadnym zakątku świata nie napisano równie wiele fałszywych dzieł historycznych, jak o ziemiach pomiędzy Łabą a Wisłą.

...Bez wątpienia wiele więcej dziełnych czynów zostało dokonanych przez Pomorzan, Kaszubów, Rugijczyków, niż możemy podać, dlatego że między Wenedami nie było nikogo, kto by je opisał, ponieważ ten naród nie miał zamiłowania do nauki. Stało się przeto, że nikt z nich nie studiował i ich wspaniałych czynów nie mógł opisać, lecz ich nieprzyjaciele musieli to czynić, a ci, jak to łatwo sobie wyobrazić, najlepsze opuścili i ile tylko mogli zasług i chwale sobie przypisali — tak pisał w r. 1540 niemiecki historyk Tomasz Kantzkow, urzędnik Kancelarii księżco-brandenburskiej.

„Między Wenedami nie było nikogo, kto by je opisał”. Pisał w większej części Niemcy. Mimo to jednak niemiecka nauka nie może zaprzeczyć faktu, że wschodnia granica Rzeszy rozdzielała rdzennie słowiańskie ziemie. W pracy „Der Zug nach dem Osten” niemiecki autor K. Hampe pisze, że w ciągu dziesięciu wieków Niemcy zdobyli na Słowianach ziemie powierzchni 200 tysięcy km kw. Każdy człowiek w Polsce musi wiedzieć, że nie mamy żadnych „daleko idących pretensji terytorialnych”. Odebraliśmy sobie tylko nasze własne ziemie po Odrę, na których Niemcy byli jedynie okupantami. My twierdzimy, że jeszcze na wschód od Odry i Nysy leży pas ziem rdzennie słowiańskich — dawnych Obotrytów, Lutyków, Łużyczan i Serbów. Jest polską racją stanu popierać wszelkie i czykolwiek starania wyzwolenia tych ziem lub wcielenia ich do jednego z państw słowiańskich.

NIE WYSTARCZA UZASADNIENIA HISTORYCZNE

Przeciętny Polak nie ma imperialistycznych dążeń i nie pochwaliby nigdy polityki państwa, która zmierzałaby do zagarnięcia cudzej własności. Dlatego akcja uświadamiania obywateli o historycznych prawach Polski do ziem odzyskanych powinna być podjęta na wielką skalę. Należałoby udostępnić szerokiemu ogółowi popularne wydawnictwa poruszające te sprawy, gdyż miłość i należytą ocenę ziem odzyskanych nastąpi dopiero po zrozumieniu słuszności naszych postulatów.

Dla Polaka więc względy natury historycznej są rozstrzygające. Ale trzeba sobie zdać sprawę również z tego — i wiedzieć o tym musi nie tylko każdy Polak, ale i wszystkie cienie Lloyd George'ów, — że za przynależnością tych ziem do Polski przemawiają również względy natury politycznej, strategicznej i gospodarczej.

Polska stanowiła zawsze pewną i trwałą placówkę w walce z niemieckim imperializmem. Niebezpieczeństwo niemieckie istnieje będzie zawsze, dopóki Polska nie będzie przynajmniej równorzędnym przeciwnikiem swego zachłannego sąsiada. Uszczupianie więc terytorium Polski przez obcięcie ziem wschodnich bez równorzędnego odszkodowania na zachodzie osłabiłoby jej potencjał obronny. Z tego samego względu granice nasze muszą mieć i strategiczne uzasadnienie. Granica z Niemcami na Odrze i Nysie jest krótsza w porównaniu z przedwojenną o 1.600 z górą kilometrów! Jest to względnie istotnej wagi. Łączy się z poprzednimi argumentami i pogłębia je jeszcze względy natury gospodarczej. Przy ocenie ich nie można instynktownie wyczuwać — tu trzeba się zdobyć na to, co nazwałbym rozumem politycznym. Bo gdybyśmy się spytali któregośkolwiek Anglika, dlaczego Wielkiej Brytanii tak bardzo zależy na posiadaniu

*) Wymienilibym tu książki: „Polska nad Nisą, Odrą i Pasłęką” dr Wł. J. Grabskiego, „Budujemy nową Polskę nad Bałtykiem E. Kwiatkowskiego (z której w dużej mierze korzystam) i „List otwarty do biskupów angielskich” J. Maliszki

daniu wpływów w Indiach, to nie będzie tego uzasadniał ani historycznymi względami, ani moralnymi, nawet można by obalić jego argumenty natury strategicznej — uzasadni to jedynie koniecznością gospodarczą.

CHCEMY BYĆ PAŃSTWEM

PRZEMYSŁOWYM I EKSPORTUJĄCYM

Nad wartością gospodarczą ziem odzyskanych warto się skoślej zastanowić. Uświadomijmy sobie najpierw, że Polska jakiej chcemy — to Polska niezależna, silna, Polska dobrobytu i wyższej niż dotychczas kultury materialnej. Nie może być takim państwem, w którym szwankują warunki gospodarcze. Przed wojną byliśmy państwem słabym, państwem o wadliwej strukturze społecznej i niskiej stopie życiowej. Podstawę do wyjścia z tego stanu rzeczy da nam handel zagraniczny i uprzemysłowienie kraju. Porównajmy wartość produkcji przemysłowej i górniczej w ciągu jednego roku, przeliczoną na jednego mieszkańca kraju w Polsce przedwojennej i w krajach znanych z wysokiej stopy życiowej. W Polsce wartość ta wynosiła 190 zł. W Stanach Zjednoczonych 2.570 zł., w Kanadzie 2.000 zł. Państwo Polskie stoi więc wobec konieczności zmiany swej struktury gospodarczej — zniesienia rażącej dysproporcji między rolnictwem a przemysłem. W planie tym nie można nie uznać za najważniejszą pozycję istniejących już na ziemiach odzyskanych, zwłaszcza na Śląsku, urządzeń przemysłowych i bogactw naturalnych.

Nowoczesne państwo — uprzemysłowione i zagospodarowane, musi eksportować. A eksport opłaci się wówczas najwięcej, jeśli zlikwiduje się do minimum pośrednictwo obce, jeśli dobra eksportowane odbędą od rąk producenta do rąk konsumenta drogę możliwie najkrótszą i najtańszą, i będą wywożone własnymi środkami transportowymi. Stąd konieczność posiadania własnych portów. W XVII w. kupcy gdańscy sprzedawali polskie zboże — jedyne dobro, jakie wówczas mogliśmy eksportować, o 50 proc. drożej, niż za nie płacili w środkowych okręgach kraju. Jednocześnie za sprzedawane do Polski towary kazali sobie płacić ceny niewspółmiernie wysokie nie tylko z ceną zboża, ale i z ceną własnego kupna. Przy małym zapotrzebowaniu na zboże w kraju oznaczało to sztuczne obniżenie wartości produktów rolniczych. W takich warunkach rolnictwo u nas nie mogło się rozwijać pomyślnie, egzystencja chłopów była godna pożałowania i skarb państwa nie mógł mieć dostatecznej ilości

pieniędzy na własne potrzeby. Przy pełnych śpiżniach zboża i przy dużym zapotrzebowaniu na nie zagranicą, Polska była krajem ubogim, krajem o bardzo niskiej stopie życiowej.

Zaniedbanie sprawy dostępu do morza przez tylu w ciągu wieków kierowników państwa musi się skończyć raz na zawsze. Szeroki i wolny dostęp do morza jest więc dalszą konsekwencją przemian gospodarczych w Polsce. Nie można dopuścić już nigdy do powtórzenia fikcji „korytarza” i „wolnego miasta Gdańska”. Już przed wojną 1939 r. Gdańsk Polsce nie wystarczał. Zbudowaliśmy Gdynię — z wielkim nakładem sił i kosztów. Gdynia nie była tylko portem nowoczesniejszym od Gdańska — była portem, którego położenie dawało nadzieję swobodniejszego wykorzystania dróg wodnych. Analogicznie do tego — jest naszym twardym warunkiem, aby posiadanie portu Szczecina nie było ograniczone jakimikolwiek możliwościami kontroli wiodących od niego dróg. Jest naszym twardym żądaniem posiadania kluczowej pozycji na zachód od Szczecina — wyspy Rugii wraz z sąsiadującym z nią pasem wybrzeża.

Takie są w dużym streszczeniu uzasadnienia gospodarcze polskiej racji stanu w żądaniu granic na Odrze i Nysie. I takimi właśnie argumentami operowalibyśmy, gdyby się nas jaki Anglik nieczyły na historię zapytał, dlaczego upieramy się przy tych granicach.

CYFRA

Ale są to tylko argumenty. Musimy sobie uświadomić, że zrealizowane kotyżki, jakie zamierzamy osiągnąć przez wykorzystanie tych ziem zależy w największym stopniu od wkładu pracy całego narodu. W „krajnie węglem i stałą płynącą” zamienią się te ziemie po wielu dopiero latach wyłożonej pracy. Gleba tam mało urodzajna i wymaga wysokiej kultury rolnej. Urządzenia przemysłowe w dużym stopniu zniszczone lub wywiezione. Dla zilustrowania przytoczmy dane o zniszczeniach na Wybrzeżu z wspomnianej — wyżej książki E. Kwiatkowskiego: „Straty Gdańska” — miasta i portu — ocenia się ogólnie, bez strat mienia prywatnego — na wzwyż 120 milionów dolarów przedwojennych. Straty Gdyni... 30 milionów dolarów; straty Elbląga wżwyż 15 milionów dolarów; straty Szczecina i Kołobrzega... 70 milionów dolarów; straty rybaków i rybactwa morskiego ok. 6 milionów dolarów. Straty i szkody całego wybrzeża nowej Polski, bez strat mienia prywatnego, bez doliczenia wartości tzw.

trefeów wojennych, bez taboru wodnego i floty handlowej i wojennej, sięgają potężnej cyfry 300 milionów dolarów. Ogrom tych strat na samym Wybrzeżu... wyraziłby się równowartością bezpłatnej pracy stu tysięcy ludzi — w ciągu dziesięciu lat.

Wielkość tych zniszczeń przeraża. A przecież mamy przed sobą jeszcze odbudowę stolicy, setek miast i wsi wewnątrz kraju, mamy zdewastowane kolejnictwo, mamy trudne i obciążające transport problemy migracyjne i przesiedleńcze, muszą być zaspokojone bieżące potrzeby ludności. Pociśmy się, że tymi samymi trudnościami obciążone są i inne państwa, i że my częstokroć lepiej dajemy sobie z tym radę. W przemyśle hutniczym wzrost produkcji w ciągu dziesięciu miesięcy wynosi 387 proc., węgiel wydobywamy nie tylko dla rynku wewnętrznego, ale i na eksport dla państw, z którymi zawarliśmy umowy handlowe (w lutym br. wydobyło 103,7 proc. węgla w stosunku do planu), eksport węgla przez Gdynię wzrósł dwukrotnie w porównaniu z grudniem ub. r. i wynosił już w styczniu 91.697 ton. W teście zniszczonej Gdyni przeładowano w styczniu 308.561 ton towarów za pomocą 22 dźwigów, w Gdańsku czynnych już jest 19 dźwigów a w remoncie znajduje się 17.

Śląsk i Wybrzeże pracują mimo zniszczeń i strat równających się pracy stu tysięcy ludzi w ciągu dziesięciu lat.

Wprost nie chce się wierzyć w wymowę cyfr, gdy się między nie wtrąci ludzka wola i planowa praca.

NIECO EKONOMII

Bo bez planowania niewiele moglibyśmy zdziałać. Z doświadczeń ekonomicznych wynika, że inwestycje na rozbudowę i odbudowę muszą być poprzedzone wzrostem produkcji w warsztatach już czynnych. Tylko dostarczenie na rynek wewnętrzny większej ilości produktów może pozwolić bez obawy inflacji pieniądza na użycie większych sum pieniędzy dla celów inwestycyjnych. Jeśli obecnie człowiek pracy ma chleb, buty i ubranie i jeśli jednocześnie stopniowo odbudowuje się nasz przemysł, to znaczy, że nasza polityka gospodarcza opiera się na zdrowych podstawach. Jeśli w niedalekiej przyszłości spadną ceny wyrobów przemysłowych (a co za tym idzie i produktów rolnych) — będzie to oznaczać, że odbudowa zniszczonych na ziemiach odzyskanych fabryk, urządzeń przemysłowych, portów, taboru kolejowego i floty handlowej zacznie się posuwać w bardzo szybkim tempie.

Najpilniejszym zadaniem w gospodarczych planach państwowych jest wydobywanie jak największych ilości węgla, którego mamy podostatkiem i na który jest obecnie duże zapotrzebowanie na rynkach światowych. Za węgiel dostajemy w ramach umów handlowych bawełnę, naftę, maszyny, wysokowartościowe rudy metali, żywność itd. Łączy się z tym sprawa transportu. Musimy mieć transport. Bez niego nie sprzedamy węgla. (Dotychczas tylko ZSRR i Szwecja biorą od nas węgiel przy pomocy własnych częściowo środków transportowych). Trzyletni plan gospodarczy przewiduje produkowanie miesięcznie 50 parowozów, 1500 wagonów towarowych i 80 osobow. wych. Transport był i jest jeszcze najsłabszym ogniwem łańcucha wzajemnych zależności i uwarunkowań gospodarczych, a w takim łańcuchu najsłabsze właśnie ogniwo wyznacza rozmach i tempo życia gospodarczego.

Problemy gospodarcze są zawsze złożone. Określona sytuacja gospodarcza jest wynikiem wzajemnej współzależności wielu elementów gospodarczych. Zmiana tej sytuacji może być spowodowana nie tylko zmianą wszystkich tych elementów, ale choćby tylko zmianą jednego z nich. Po co ta lekcja ekonomiki?

— Jednym z elementów gospodarczych jest sam człowiek — producent, konsument, promotor wszelkich zmian gospodarczych. Człowiek często bezradny i osaczony okolicznościami — a często wbrew wszelkim okolicznościom twórczy, czynny, odkrywca.

Nie chciałem w artykule ten wkładać żadnego morału. Chciałem tylko sprawę ziem odzyskanych przypomnieć, ożywić, gdyż nigdy o nich zadość. Chciałem zupełnie świadomie zrobić im zwykłą, ordynarną propagandę. Ale nasuwa się właśnie moral.

Po pierwszej fali żołnierzy, którzy walczyli nam nowe granice na Odrze i Nysie — i po fal' szabrowników i spekulantów — musi przyść nowa fala prawdziwych pionierów, którzy będą w sytuacji gospodarczej ziem odzyskanych najpewniejszym ogniwem.

Redakcja Tygodnika „WIEŚ” NA SKUTEK MASOWO NAPLYWAJĄCYCH PROŚB PRZEDŁUŻA OSTATNI TERMIN NADSYŁANIA PRAC NA OGŁOSZONY W NR. 5 (33) NASZEGO PISMA

KONKURS

NA TEMAT:

„Jakiej powieści chce dzisiejsza wieś”

DO DNIA 15 MAJA 1946 R.

PRZYPOMINAMY WARUNKI KONKURSU

- I. Uczestniczyć w konkursie mogą wszyscy zainteresowani.
- II. Do odpowiedzi należy dołączyć życiorys, uwzględniający następujące dane:
 - 1) data urodzenia i miejsce zamieszkania,
 - 2) środowisko, rodzaj pracy, warunki materialne,
 - 3) wykształcenie,
 - 4) zainteresowania literackie (czy dużo dotychczas czytał, jakiego rodzaju książki, co z przeczytanych książek najbardziej mu się podobało).
 Bez życiorysu odpowiedź nie będzie rozpatrywana w ramach konkursu.
- III. Nadsyłać należy odpowiedzi i życiorysy na adres Redakcji tyg. „Wieś”, Łódź, ul. Piotrkowska 96.
- IV. Ostatni termin wysłania odpowiedzi upływa z dniem 15 maja 1946 r.

NAGRODY:

I. — 5.000 zł. II. — 4.000 zł. III. — 3.000 zł.
oraz 20 powieści dla 20-tu wyróżnionych w konkursie

MOTYWY OCENY.

Przy rozdziale nagród szczególna uwaga zwrócona będzie:

- a) na konkretność i bogactwo sformułowania propozycji,
- b) na jej doniosłość społeczną,
- c) na mocne uwydatnienie potrzeb środowiska,
- d) na praktyczną przydatność takiej propozycji dla pisarza.

SKŁAD KOMISJI KONKURSU

Skład komisji oceniającej powołany przez redakcję „Wsi” po napłynięciu odpowiedzi spośród grona uczonych, pisarzy i działaczy społecznych zostanie ogłoszony w maju.

DYSKUSJA O SZELI

Nowe wypowiedzi na temat Szeli i rabacji napływają stale do redakcji. Wybieramy z nich trzy — nader charakterystyczne. Drukowaliśmy dotychczas opinie przychylnie dla Szeli, okazuje się jednak, że istnieją środowiska chłopskie, które mają zupełnie odmienny pogląd na sprawę rabacji i jej wodza. Niedopuszczenie do głosu tych opinii, nieprzychylnych dla Szeli, byłoby i błędne i nieuczciwe. Trzeba wysłuchać i drugiej strony, wziąć pod uwagę jej argumenty i ewentualnie zrewidować po dokładnym zastanowieniu się nad nimi swój pierwotny pogląd na daną sprawę. Na razie wypłynęły głównie argumenty emocjonalne i moralne. Gdybyśmy istotnie zamierzali apoteozować Szelę, wmawiać w chłopów jego legendę — byłyby one bardzo dotkliwe i trafne. Szela jednak interesuje nas wyłącznie jako tragiczny aktor jednego z najbardziej bolesnych i smutnych epizodów naszej historii. Po linii mniej więcej zgodnej z intencjami „Wsi” idzie wypowiedź zatytułowana „Rodowód „zbira” Szeli”, która bynajmniej nie próbuje kanonizować przywódcy rabacji, ale poprzestaje na próbie historycznego wyjaśnienia wypadków galicyjskich z 1846 r.

Wiesz polska wydała ludzi, którzy w daleko większym stopniu niż Szela zasłużyli na to, by być dla nich wzorami do naśladowania. Chodzi jednak o to, by rabacji nie uzasadniać jedynie złą wolą władz austriackich i ciemnotą galicyjskich chłopów. Ponieważ zaś chłopcy są w tej sprawie najbardziej zainteresowani, dajemy im możliwość wypowiedzieć się jak najswobodniej i jak najpełniej na ten temat.

Rodowód „zbira” Szeli

„Wierchosławice

To słowo będzie się wymawiać z obrzydzeniem. Za lat sto dzieci w szkołach będą się dowiadywać, że chłopcy z Wierchosławic podnieśli rękę na państwo, że znęcali się nad policjantem polskim, że podpalili urząd państwowy — posterunek policji.

Wierchosławice przejdą do historii jako źródło wytwarzanej przeciw Polsce, a zwłaszcza przeciw miastom, nienawiści.

Wierchosławice — Witos — anarchia — Czerwony Kur, to słowa z ponurego słownika. Gdzieś w pobliżu znajdziemy wołania „rizat-lachiw”, a nawet to, czego beznamiętne zbory wierchosławickie nie są w stanie zrozumieć: „proletariusze wszystkich krajów łączcie się”.

W Polsce każdy krok postawiony na drodze anarchii, to zbliżenie ku frontom ludowym... („Jutro Pracy” — 3 sierpnia 1936 r.)

„Wierchosławice — Witos — to słowa z ponurego słownika” — tak pisali panowie spod wiadomego znaku w dziewięćdziesiąt lat po rabacji! Nie więc dziwnego, że pan Schnur-Popławski w swej „Krwawej Karcie” — odmalował Jakuba Szelę jako wyrzutka społeczeństwa, jakiego w ogóle świat nie znał, który opanowany chęcią mordu i grabieży, zabijał niewinłą szlachę i płał się w ich krwi. Dzięki tak gorliwemu zaciemnieniu istotnego tła rabacji, dzieci w szkołach dowiadują się dziś jeszcze, że Szela ze swoją czernią był konfidentem i zwykłym opryskiem.

Panowie z „Jutra pracy” — przepowiadali, że za lat iks dzieci w szkołach będą się dowiadywać, że Witos był zbirem — ten Witos, który żadnej krzywdy dworom nie wyświadczył, ale ośmielił się w chłopie budzić poczucie ludzkiej godności i postawy obywatelskiej. Już to, że się ośmielił, już w tej warstwie budziło obłądną nienawiść. Bo przecież wszystkie tęsknoty propagatorów „straganów” skupiały się w jednym: uczynić chłopca z powrotem poczytnym kmiotkiem, co to i księdza proboszcza pokornie w rękę całuje i pana dziedzica za nogi oblapia.

Tak marzył nasz „narodowy, szczeropolski” komediopisarz, hrabia Aleksander Fredro w swoim memoriale do cesarza: „wszystko dzie dzie w stosunku do gromady połączył w swej osobie, a dobrodziejstwa, które z dawien dawna wpływały z jego woli i opieki, przeszły w obowiązujące prawo, nie wzięciły więc już wdzięczności, ale otwierały pole do nieograniczonych żądań i niezadowolona...”

Domagał się więc nasz hrabia — pisarz surowego ukarania chłopów odmawiających pełnienia pańszczyzny i ograniczenia zapomóg przez dziedziców dla chłopów będących w potrzebie.

Taki był pogląd ogólny panów dziedziców, którzy zaniepokojeni dekretemi Józefińskimi, wymogli na kretynowatym cesarzu Leopoldzie zaprzestanie reform. A tymczasem ucisk pańszczyzny nie ustawał, był ten sam jak w 14, 15, 16, 17 i 18-m wieku, o jakim pisali Mo-dziewski i Staszic.

Miedzy chłopem polskim a niewolnikiem rzymskim nie było żadnej różnicy: i ten i tamten był wyzuci z ludzkich praw i stali niżej niż było robocze. Ich życie i śmierć były w rękę

pana. Nie pomogą tu żadne „wybielania” i zaklamania, ani też udowodnienia, że we Francji i w Niemczech było gorzej, gdyż tam bywały buntury chłopskie. Ale tam wolno było chłopu odchodzić z roli do rzemiosła, stawać się mieszczaninem, gdy w Polsce chłop był na wieki do miejsca przypisany i nawet na drugą wieś wychodzić nie było wolno.

Ponure i straszliwe są dzieje chłopstwa polskiego, kiedy się je bada, musi się powtarzać za Staszicem: „poręba mię wstyd, rozpacz i groza — w pośrodku chrześcijan takie okrucieństwo!”

W pierwszym rzędzie rozpacz, bo gdyby „cze rep rubaszny” na przestrzeni szeregu wieków objawił chociaż odrobinę zrozumienia obywatelskiego, miliony istot chłopskich nie byłyby wyzyskiwane przez głod, ale żyły i rozmnażały się ku potęgze Rzeczypospolitej, a wtedy żaden butny Germanin nie byłby w mocy co pewien okres gotować nam zagładę ostateczną. I nikt by się nie ośmielał pluć w twarz narodowi liczącemu co najmniej pięćdziesiąt milionów.

To są fakty, które przy odrobinie dobrej woli można zbadać — Polska była większa trzy razy od Francji — była najżyźniejszym krajem w Europie, a ludności posiadała trzy razy mniej. Zemściło się na naszej przyszłości, że dola chłopu była odmienna niż we Francji.

W wolnej Ojczyźnie chłop zdychał z głodu, w dobie zaborów emigrował i pracował dla obcych, jako najniższy niewolnik. Ręce tego niewolnika zbudowały przemysł niemiecki, wzbogaciły dobrobyt najstraszliwszego wroga. To są dane, którym nie można zaprzeczyć — a szlachcic czytał „Oekonomikę” Haura i uczył się z niej jak wyzyskiwać chłopów i jak strzec dobra swoje przed złodziejem chłopem. Przecież nóż złodzieja Szeli, którym ten chciał przeciąć szlachecką sielanę — tak czynił zawsze, bo Szela nie był pierwszym, miał swoich poprzedników już w 14-m wieku. Każdy buntownik był przykładnie ukarany, a jego zbrodnie odpowiednio napiętnowane paragrafem i pieśnią. W tym wypadku kara zapuściła korzenie i nawet chłopcy odziedziczyli się pacierzem od noża Szeli, a na przyszłość spoglądali, jak na dopust boży...

Gdy się wspomni obiektywnie o rabacji, zaraz szepty: demagogia! Nie chodzi o demagogię, chodzi o prawdę historyczną. W sto lat później organizator Szela (a był nim, co mi-mowoli podkreślają jego szlachyccy historycy) na pewno by przyjął inne metody w dochodzeniu krzywdy swych współbraci, lecz w ciemnej nocy pańszczyźnianej innego środka poza nożem nie było, a innego wyjścia jak tamto również.

Jakub Szela nie potrzebuje obrony, domaga się jednak od nas zadośćuczynienia w Prawdzie i w naświetlaniu motywów, które kierowały jego krokami.

Stefania Rybiejska

Co by orzekł Sąd Ludowy?

I chłopski i szlachecki historyk, ze względu na klasowych, dają nam fałszywy obraz Szeli.

Spróbuję podać te tylko momenty z życia Szeli na które zgodzą się wszyscy historycy:

1. Szela swe wystąpienie uzgodnił z okupantem.
2. Szela wydawał rodaków — wprawdzie tylko szlachtę — w ręce okupanta.
3. Szela znęcał się nad rodakami.
4. Szela zabijał szlachtę — też ludzi — Polaków.
5. Szela w okresie powstania i okupacji rozbijał jedność Polaków.
6. Szela otrzymał z rąk okupanta dom i pole.

Dzisiejszy specjalny Sąd Ludowy uznałby Szelę winnym z każdego artykułu i pozbawił go praw obywatelskich na zawsze.

Nie widzę dlatego w chwili obecnej obiektywnych danych, by właśnie teraz pasować Jakuba na działacza, trybuna ludowego i bohatera.

Bo w chwili obecnej cała nasza prasa — całkiem słusznie — podobne cechy i działania potępia a Sąd ostrze feruje wyroki, bo:

1. Jadwiga Koziolek przyjęła grupę L. P. (Leistungspole).
2. Michał Serek był konspiratorem Gestapo.
3. Jan Mazgaj jako „vorarbeiter” bił Polaków.
4. Józef Drag z bandy „Dyszel” zabił Żyda.
5. Banda „Dyszel” otrzymywała rozkazy z zagranicznych ośrodków dyspozycyjnych.
6. Stronnictwo Reakcjonistów — nie przystąpiwszy do bloku wyborczego — rozbija ideę Jedności Narodowej.

Nie rozstrzygając czy Szela był trzeźwym lub opojem, działacem czy narzędziem w ręku obcym, stwierdzam tylko, że złą przysługę oddaje obecnie pamięci Szeli ten, kto drogą publicystyki ożywia sprawę ś. n. Jakuba.

Józef Mrozek

O Szeli w krakowskim

O Szeli czytałem wiele w ciągu mego życia. Ostatni numer „Wsi”, poświęcony Szeli, trochę mnie zdziwił. Dlaczego, wyjaśnię krótko.

Na wstępie przedstawię się w kilku słowach.

Jestem chłopem spod Krakowa, ze wsi, która nigdy nie miała pana, lecz była osadą chałupniczą od czasu założenia jej przez króla Kazimierza Wielkiego. Dlatego też żadnych wspomnień o pańszczyźnie i o udrękach przodków w naszej miejscowości nie było i nie ma. Czuli się widocznymi i my za nimi, jako wolni ludzie, wolni kmiście i obywatele.

Czyn Szeli i innych „bohaterów” rozważany był niejednokrotnie w mojej obecności przez moich sąsiadów. Pewien niewielki procent moich znajomych usprawiedliwiał przywódcę rabacji ciemnotą, którą wykorzystali austriacy starostowie i skierowali na przeciwników — szlachtę, gotującą się do powstania.

Większość uważała Szelę za szkodnika interesów narodowych i to w wysokim stopniu, człowieka, który dopomógł wrogowi do zwycięstwa. Osobiście — uważam, że czyn Szeli wypływał z zemsty stanowej, podobnie jak czyn — na inną, bo olbrzymią skalę — Bohdana Chmielnickiego.

Znam warunki bytu chłopów pańszczyźnianych, wiem także to, że wówczas warunki te były podobne w całej Europie. Dlatego uznaję, że w czynie Szeli były okoliczności łagodzące — lecz nie ma podstaw ku temu, by go opiewać w pieśni. Zgrozą przejmując nas myśl o braniu talerów za głowy szlacheckie dostarczane władzom austriackim. (O tym się dzisiaj nie pisze).

Tu już odchodzić od idei odwetu za krzywdy choćby i wielokrotne, bo one bezspornie miały miejsce i znijamy się... ku srebrnikom judaszowskim...

Pożądaną rzeczą byłoby omówić późniejsze przeżycia członków rabacji — przez wnuków, czy prawnuków nieszczęśliwców Szeli.

Piszę „nieszczęśliwców” bo nie jest to honor, mieć przodka który brał udział w rzezi... Jestem dumny z dziadka, który jako 16-letni powstaniec stracił nogę, ale nie pochwalilibym się prapradziadkiem czy dziadkiem biorącym udział w rzezi szlachty za pieniądze okupanta... Może i dlatego w swoim życiu nie spotkałem ani jednego jawnego potomka z oddziałów Szeli.

Z dziecińczych lat przypominam sobie opowiadanie mego dziadka, który wspominał, że „ci chłopcy, którzy rzekli panów”, nie mieli spokoju sumienia do samej śmierci. Nie otrzymywali oni rozgrzeszeń przy spowiedzi i do końca życia wstydzieli się swego postępków, zwłaszcza przed chłopami z innych powiatów, którzy dumni byli z tego, że ręce ich nie zostały splamione krwią rodaków.

Jest wielka różnica pomiędzy Szelą a Janosikiem, czy Kostką Napierkim. Tu mściwy chłop, biorący odwet za swoje krzywdy, tam „honorowy i godny” zbójnik, karzący i karzący ciemiężców wolnych górali, opiekun biednych i pokrzywdzonych. O ile Janosik może być do pewnego stopnia — legendarnym bohaterem, to Szela może być „bohaterem” w ludzysłowie.

Przygotowanie powstania w 1846 roku — bez udziału chłopów, nie rokowało żadnych nadziei zwycięskiego zakończenia. Ale ówczesna szlachta nie była w stanie wyrzec się swego dominującego stanowiska i hegemonii w rządach krajem. Chłop gnębiony przez kilka wieków nie poszedłby na pomoc szlachcie, tym więcej że był wychowany w ciemnocie i miłość ojczyzny spała jeszcze wówczas w jego sercu. Dopiero postęp i oświata ludu otworzyła te serca dla Ojczyzny, co wykazało się dobitnie w okresie ostatniej wojny, w której chłop polski wziął czynny i chlubny udział w walkach o oswobodzenie kraju.

Żywią i bronią... Bronił kraju nie na rozkaz, lecz z poczucia patriotycznego. Chłop polski stał się obecnie pełnowartościowym obywatelem Polski Ludowej.

Nie był nim jeszcze — ze względu na omówionych — w czasie rabacji w 1846 roku...

A. Kotarba

WYDAWNICTWA

ODDZIAŁ WIEJSKIEGO Z. Z. L. P.

W najbliższych dniach ukaże się na półkach księgarskich tom poezji Józefa Andrzeja Frasiaka p. t. „Urodzony w żdźble”: wydany nakładem Oddziału Wiejskiego Z. Z. L. P. Organizacje młodzieżowe i kulturalne mogą książkę Frasiaka, jak i następne wydawnictwa poetyckie Oddziału Wiejskiego Z. Z. L. P. (Paweł Kubisz — „Przednówek”, Stanisław Pięta — „Dom rodzinny”), zamawiać w siedzibie Oddziału — Łódź, Andrzeja 12 m. 6. Zamawiającym przysługiwać będzie 30% zniżki katalogowej.

ŻYCIE NAUKI

Ukazał się 2 numer miesięcznika naukoznawczego „Życie Nauki”, poświęcony w dużej części konferencji o potrzebach i organizacji nauki polskiej, która się odbyła w Krakowie dnia 26 stycznia br. — Numer zawiera referowania i referaty rektora U. J. T. Lehra-Spławskiego, oraz profesorów T. Kowalskiego, G. Przychockiego, Wł. Szafera, Wł. Konopczyńskiego, A. Vetulani, następnie tezy i dyskusje, a prócz tego artykuły Wł. Michałowa o reorganizacji nauki w Polsce i B. Leśnodorskiego o *Causa Universitatis Jagellonicae 1939—1941* — pamiętnym aresztowaniu i wywiezieniu do Sachsenhausen i Dachau profesorów U. J. W części informacyjnej znajdujemy bogatą kronikę życia naukowego w Polsce i za granicą, omówienie kilku ostatnich zeszytów *Nature* i recenzję doskonałej książki: „Mathematics for the Million” L. T. Hogbena. Numer dopełnia siedem stron dodatku angielskiego. Wobec przedrukowej roli, jaką odgrywa nauka we współczesnej cywilizacji, „Życie Nauki” powinno być czytane przez wszystkich, interesujących się sprawami kultury. Można je nabyć we wszystkich placówkach „Czytelnika” i w innych księgarniach. Cena 2 numeru (88 str.) zł. 30.—. Prenumerata kwartalna (zł. 75.—) przyjmuje „Czytelnik”. Adres redakcji: Kraków, Szopna 1, m. 7.

MILION APARATÓW RADIOWYCH MUSI WROCİĆ DO POLSKI

W r. 1939 było zarejestrowanych w Polsce 1.300.000 radioaparatów. Obecnie jest ich 170 tys. Przeszło 1.000.000 aparatów lampowych i prawie pół miliona detektorów — zrabowali Niemcy, wywożąc je do Rzeszy. Cztery radiostacje: w Toruniu, Poznaniu, Łodzi i Warszawie zostały zupełnie zniszczone przez wycofujących się Niemców, radiostacja w Krakowie — uszkodzona.

Podczas, gdy w Polsce brak radiodbiorników nie tylko dla osób prywatnych, ale i dla szkół, świetlic, instytucji, podczas gdy brak najprymitywniejszych czasem urządzeń technicznych, Niemcy posiadają wspaniałe, nowoczesne radiostacje i przeszło 5 milionów radiodbiorników (w samej strefie amerykańskiej 2.500.000), t. zn. 34 razy więcej niż obywatele polscy (przed wojną stosunek ten wynosił 1:10 na korzyść Niemiec). Polski uczonej, muzyk, literat, dziennikarz, nauczyciel nie ma radia, nie ma go robotnik ani chłop, odcieci często na dalekiej wsi od życia politycznego i kulturalnego. Swoje radiodbiorniki oddali, bo posiadanie ich podczas okupacji groziło karą śmierci.

Słucha radia za to 5 milionów Niemców. Z liczby 5 mil. aparatów 1.000.000 należy bezspornie do nas. Powinny wrócić do Polski! Taki wniosek uchwaliła ogólnopolska Konferencja Radiowa, która się odbyła niedawno w Warszawie.

Spółczesność polska żąda zwrotu zagrabionych odbiorników! Należy mniemać, iż rząd polski zrobi wszelkie starania, aby rewindykacja polskich radiodbiorników została przeprowadzona.

KSIĄŻKI I CZASOPISMA NADESŁANE

Janina Lipska — W CZORAJ — nowe, 64 — Drukarnia - Wydawnictwo „Świt”, Kraków, 1946.

O Marek Pocięcha, bernardyn, kapelan W. P. — ZMIERZCHY I ŚWITANIA, poezje, stron 72, Kraków, 1946.

ŻYCIE NAUKI, miesięcznik naukoznawczy, tom I, luty 1946, Nr 2.

Dr med Zdzisław Bernard — SZCZEPIONIA OCHRONNE, podręcznik dla personelu szpitalnego, nakładem nadzwyczajnego Komisarjatu do walki z epidemiami, Łódź, 1945.

WIATR OD MORZA, czasopismo poświęcone kultywowaniu marynistycznej Gdańsk — Gdynia, marzec 1946, rok I.

Nr. 12 (40) „WSI” ZAWIERAŁ:

Józef Losin — Drugi Kongres Samopomocy Chłopskiej; M. Lipiński — Sprawa chłopska w literaturze; Jan Bolesław Ożóg — Muzeum parałalne — W niebie świętym, Ucieczka do Egiptu, Kara, Zdechła kobyła; Zofia Solarzowa — Uniwersytet Ludowy w Brusie; Jan Rybkowski — Zagłada miasta Dreżna; Stefan Kawyn — Zagadnienia literackie w „Pamiętnikach Chłopów”; Franciszek Kuś — O Jantku z Bugaja; Maciej Czula — Dyskusja o Szeli; Stefan Lichajski — Próba nowej prozy; Ilia Erenburg przekł. Pawła Hertza — Po wyborach oraz noty, listy i ogłoszenia, 1 ilustracja, 8 stron.

REDAKTOR NACZELNY: Jan Aleksander Król. — KOMITET REDAKCYJNY: Kałuziński Zygmunt, Morton Józef, Ozga Michał, Józef, Olcha Antoni, Pięta Stanisław. KOMITET TERENOWY: Frasiak Andrzej, Nędra Kubinieć Stanisław

REDAKCJA: Łódź, Piotrkowska 96 tel. 1-00-98

Redakcja rękopisów nie zwraca.

Wydawca: Wydział Wydawniczy Z. S. Chł. w Spółd. wydawniczej „Czytelnik”.

CENY OGŁOSZEŃ: kolumna zł. 60.000, 1/2 kolumny zł. 30.000, 1/4 kolumny 15.000, 1/8 kolumny 8.000 zł, 1/16 kolumny zł. 5.000. Drobne ogłoszenia 25 zł. za 1 mm na 1 szpalte, Ogłoszenia przyjmuje redakcja tygodn. „Wies” Łódź, Piotrkowska 96, I p. telefon 1-00-98.

D-09202

Drukarnia Nr 4, Spółdzielni Wydawniczej

„Czytelnik”, Łódź, Zwirki 2.